Osiem stron

Str. 4. J. GIERTYCH — O POLSKIM INDYFERENTYŹMIE

Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 12 lutego 1950 Nr. 7 (138)

STANISŁAW PAŁĘCKI

ETYKA CONRADA-KORZENIOWSKIEGO

Ideolodzy komunistyczni bardzo szybko dostrzegli wielką popularność Conrada w Polsce i wydali wojnę autorowi „W oczach Zachodu". Niewdzięcznego zadania rozpoczęcia tej wojny podjął się Jan Kott, który we wrześniu 1945 roku zamieścił w „Twórczości" (a następnie przedrukował w swej książce) obszerne studium p.t. „O laickim tragizmie".

Kott dołożył wszelkich starań, aby swą brudną robotę wykonać inteligentnie i możliwie dyskretnie. Cele i wnioski, do których zmierza, przesłonił aparatem erudycji: cofnął się parę wieków wstecz, skojarzył Konrada z Malraux, rozsnuł wątki filozoficzne i światopoglądowe, poplątał nici analogii i kontrastów, rozsypał parę dziesiątków nazwisk pisarzy, poetów, filozofów, przeanalizował w swoisty sposób niektóre utwory autora „Ocalenia", przemilczając inne, niby domki z kart pobudował sztuczne konstrukcje, nie cofnął się nawet przed fałszerstwem tekstu. Słowem, celowo zmącił tok swych wywodów i zaprawił szkic sosem inteligenckim, aby uczynić strawniejszą napaść na Conrada.

Jest to typowy atak zza płotu. Chodzi o to aby czytelnik nie zorientował się w przyczynach nienawiści do autora „Tajnego agenta". Ani słowa o zdecydowanie antyrosyjskich poglądach autora „Wojny i autokracji", żadnej wzmianki o miażdżącej krytyce zachodniego kapitalizmu twórcy „Jądra ciemności" i „Nostroma". Użyte są wyłącznie elementy dające się choćby jako tako (w pojęciu Kotta) naciągnąć do jego, z góry przyjętych tez i osądów. A oto one:

Conrad — jak twierdzi Kott — jest ostatnim moralistą mieszczaństwa. Rozpaczliwie szuka wartości ostatecznych, które by usprawiedliwiły i nadały godność życiu ludzkiemu. Tragizm jego jest niemożnością wyrażenia zgody na rzeczywistość, zawierzenia historii. Conradowskie pojęcie ślepego, bezlitosnego i zwycięskiego losu pochodzi z przekonania o zasadniczej irracjonalności świata i z przeświadczenia, że próżno szukać uzasadnienia dla wartości moralnych w sprawach rozwoju społecznego. Postawa ta prowadzi nieuchronnie do przyjęcia heroizmu śmierci jako najwyższej wartości życia. Bohaterowie Conrada — ciągle zdaniem Kotta — działają, aby żyć, umierają, aby usprawiedliwić życie.

„W czasie pierwszych lat okupacji — pisze dalej Kott —, kiedy wróg zaczął zabierać nam bliskich, postawa ta często wydawała nam się najsłuszniejszą. Stopniowo jednak wszyscy zostaliśmy spoufaleni ze śmiercią. Każdy z nas nie jeden raz umierał, nie jeden raz oczekiwał śmierci. Zrozumieliśmy, że nie każda śmierć jest sobie równa — nie każda śmierć godna szacunku. Nauczyliśmy się zamiast oceniać życie miarą śmierci, oceniać śmierć miarą życia, miarą postępu i wtedy odeszliśmy od Conrada".

Tak sformułowawszy pierwszy ogólny zarzut przeciw Conradowi i uzupełniwszy go następnie obowiązkowym frazesem o bogini stalinowskiej mitologii — Historii, płynie Kott dalej na falach erudycji, tu i ówdzie rzucając trafne sformułowania cech artystycznych twórczości Conrada, ale częściej zatrute strzały. Tak np. w „Ocaleniu" dopatruje się „niezupełnie jeszcze świadomej apologii nieokiełznanej mocy i jawnego gwałtu" oraz tęsknot bliskich Przybyszewskiemu.

Na tle „Nostroma" stwierdza Kott „trwałą niechęć Conrada do wszelkich usiłowań naprawy porządku społecznego, wrogość wobec socjalizmu, wstręt do rewolucjonistów i nieukrywaną odrazę wobec ufających w postęp wiedzy proroków naukowej utopii". Przy tej okazji autor „Laickiego tragizmu" zestawia zdanie Lenina, że „nadejdzie czas, gdy publiczne ubikacje budować będziemy ze złota" z fragmentem listu Conrada o utopii socjalistycznej, która stanie się „nudnym światem doskonałych municypalności i W. C., **sans peur et sans reproche**".

Do właściwej rozprawy z etyką Conrada przystępuje Kott w drugiej części swego szkicu, zatytułowanej „Przeciw heroizmowi". Ciągle nie ujawniając właściwej przyczyny wpisania autora „W oczach Zachodu" na kremlowski indeks, Kott zapożycza od Ujejskiego tezę, że jądrem światopoglądu etycznego Conrada jest „pesymistyczny heroizm", po czym pisze:

„Jeżeli w conradowskiej postawie znaleźć chcemy wzór życia, obrona lub oskarżenie heroizmu toczyć się musi w języku wartości społecznych. Odpaść muszą koturny, na których Conrad stawiał swoich bohaterów. Spojrzeć musimy na nich jak na żywych ludzi, ocenić motywy ich czynów, przyznać lub odmówić im racji".

Scharakteryzowawszy następnie kapitana Mac Whirra z „Tajfuna" jako starego głupca, Kott zapytuje z patosem:

„Pesymistyczny heroizm? Nie! Heroizm głupoty. Heroizm osła, ciągnącego wóz po podminowanym moście. Heroizm bez słów, bez pozy, nawet bez wewnętrznej świadomości, heroizm, który jest tylko wiernością".

Dalej przytacza Kott bezsensowny jego zdaniem przykład brawurowego zwijania żagli „po portowemu" na tonącym okręcie w „Młodości" i zestawia ten obraz z ćwiczeniami musztry formalnej w oblężonej Warszawie, aby wybić wreszcie z hukiem jeszcze jeden odcisk sztancy, według której modelowano wzór osławionych, patentowanych „bohaterów Związku Sowieckiego":

„Społeczna ocena bohaterstwa mierzy zawsze wartość ofiary pożytkiem czynu".

Otóż nie zawsze. Nawet Kott musiałby przyznać, że bohaterem był lekarz, który umyślnie zaraził się trądem, aby studiować objawy choroby, (a był taki wypadek podczas tej wojny w Egipcie), choć umarł nie przeprowadziwszy swych badań. Ale dla Kotta są to z pewnością rzeczy zbyt subtelne.

„W każdej obronie bezinteresownego heroizmu — konkluduje on — jest postawienie piękna pozorów na miejsce surowej prawdy życia; nad przemianę rzeczywistości przekłada się rozwiązanie wewnętrznego dramatu. Heroizm, który sam dla siebie staje się celem życia, staje się metodą śmierci. Kiedy sięgnąć aż do głębi tej postawy, okaże się, że na dnie jej spoczywa głęboka pogarda dla rzeczywistego świata. Heroizm taki oburzać musi tych wszystkich, którzy lekceważąc wewnętrzne usprawiedliwienia sądzić chcą czyny według ich społecznych skutków".

W tym miejscu komunistyczny krytyk traci panowanie nad sobą, zrzuca obsłonki kulturalnych manier, by sięgnąć po zgniłe jaja. Powołując się na opinię Somerseta Maughama, który, jak wiadomo, w jednej ze swych błahych powieści zarzucił Conradowi „retorykę na pokaz, afektację udającą głębię, komunały i fałsz", Kott osłabia zlekka te obelgi, ale oświadcza, że „w tej namiętnej filipice jest wiele prawdy", po czym dodaje:

„Patrząc na bohaterskich marynarzy, zapominamy o akcjonariuszach przedsiębiorstw przewozowych, którzy czerpią zyski z cudzej pogardy dla śmierci".

Konkluzje Kotta są następujące:

„...kiedy w książkach Conrada jako jedyne uzasadnienie heroizmu wyczytamy obronę honoru i wierności, spytać musimy za Monteskiuszem o użyteczność postawy tej dla powszechności... Conradowska wierność samemu sobie jest w rzeczywistości społecznej posłuszeństwem prawom świata, którymi się wewnętrznie gardzi, odrzuceniem prawa do buntu. Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem bowiem jest ten, kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość... Znacznie... społecznie groźniejsze od wewnętrznej pychy i duchowego samotnictwa bohaterów Conrada jest ich ślepe posłuszeństwo wielkim armatorom tego świata".

Tyle Jan Kott. Do tez jego powrócę przy omawianiu odpowiedzi Marii Dąbrowskiej. Tu, aby nie być gołosłownym co do postawionego autorowi „Laickiego tragizmu" zarzutu fałszowania tekstu, zmuszony jestem przytoczyć jeden z jego cytatów z „Lorda Jima". Rozbudowując sztucznie, dla celów polemicznych, conradowską teorię heroizmu (Conrad bardzo rzadko używa tego słowa, jak w ogóle wielkich słów), Kott przytacza zdanie z zakończenia powieści: „Oto widzimy go, nieznanego zdobywcę sławy, jak się wyrywa z ramion zazdrosnej miłości na znak wzniosłego **heroizmu**". Niczego takiego Conrad nie napisał. W przekładzie A. Zagórskiej czytamy wyraźnie: „na znak wzniosłego **egoizmu**", a w oryginale angielskim: „at the

NIE »KRUCJATA NIENAWIŚCI« ALE NORMALNE SANKCJE

W NOWOROCZNYM numerze dziennika włoskiej Akcji Katolickiej „Il Quotidiano" pojawił się artykuł redaktora naczelnego pisma, prof. Alessandrini. Omawiając m. in. Dekret antykomunistyczny autor pisze:

„**Gdy Kościół dekretem św. Officjum potwierdził sankcje, które od wieków uderzają we wszystkie herezje, podniosły się krzyki „skandal" i zaczęło się mówić o krucjacie nienawiści. Tymczasem, jeśli można mówić o krucjacie, to jedynie o takiej, która poprzez wyjaśnienie pozycji zdąża do poprawy i powrotu błądzących**".

Oto autentyczny głos katolicki, jakże różny od czysto sekciarskiego i materialistycznego ujęcia zagadnienia Dekretu przez tych ciasnych katolików, którym się wydaje, że Kościół broni czyjegoś stanu posiadania i którzy łaskawie raczą go przez to zaliczać do „wspólnego frontu" obrońców mitycznej „kultury Zachodu", tej kultury, która od wieków obywa się bez Boga i której najprawowitszym dzieckiem jest tak dziś zagrażający jej fizycznym podstawom komunizm. Kościół występuje przeciw **wszelkiemu** materializmowi, przeciw rodzicowi i jego dziecku, a więc przeciw indywidualistycznemu zachodniemu i przeciw sowieckiemu kolektywnemu, gdyż, jak mówi Pius XII w ostatnim orędziu wigilijnym, **zwolennicy jednego i drugiego ustroju są dalecy i przeciwni planom Bożym.** — To też zarówno **jednych jak i drugich** Ojciec św. wzywa „do powrotu do zasad naturalnych i chrześcijańskich, które zakładają podstawę sprawiedliwości na szacunku dla uprawnionej wolności; by wraz z uznaną równością wszystkich w nienaruszalności własnych praw ustała bezcelowa walka, jaka rozpala umysły w bratniej nienawiści".

Jest coś do głębi upokarzającego w wypowiedziach wielu ludzi, którzy się przecież uważają za katolików, kiedy przeciwstawiają — w znaczeniu dodatnim — materializmowi komunistycznemu równie daleki od Boga materializm zachodni, chrzcząc go mianem „kultury chrześcijańskiej Zachodu", — w nadziei na ewentualne sprzymierzeństwo, gdy w tej kulturze — jak mówi Pius XII: „Nel campo sociale il travisamento dei disegni di Dio si è operato alla radice stessa, deformando la divina immagine dell'uomo": „Na polu społecznym wypaczenie zamiarów Bożych dokonało się w samym korzeniu przez zniekształcenie boskiego obrazu człowieka". „Nic też lepszego — mówi Papież o komunizmie — nie przynieśli następni innowatorowie. Wychodząc **z tych samych błędnych założeń** i zbaczając na inne tory, doprowadzili do następstw **nie mniej** zgubnych, bo aż do całkowitego poderwania porządku Bożego, pogardy dla godności osoby ludzkiej, zaprzeczenia najświętszych i podstawowych wolności, do przewagi jednej klasy nad innymi, do podporządkowania każdej osoby i każdej rzeczy państwu totalistycznemu i do wojującego bezbożnictwa".

Wróćmy jednak do artykułu „Il Quotidiano". Prof. Alessandrini pisze m. in.:

„W połowie XX wieku świat katolicki raz jeszcze przechodzi przez prześladowanie. Podczas gdy bazyliki rzymskie przyjmują tysiące wiernych, którzy napływają zewsząd, by odnowić swoje wyznanie wiary, gdzieindziej rzesze, wpatrzone w **Rzym** i oczekujące stąd wiecznych nauk Kościoła, przeżywają tryumfy chrześcijaństwa tylko we własnych sumieniach, podczas gdy wkoło nich rozbrzmiewają słowa nienawiści i oszczerstwa. Nie wolno nam zapominać o tych naszych braciach: powinniśmy zdawać sobie sprawę, że są **oni dziś bliżsi Chrystusa od nas...** To, co się dzieje w **Europie wschodniej** i wszędzie, gdzie sięga komunizm, można określić tylko jednym słowem: wojna bez chwili zawieszenia broni".

Bardzo, bardzo warto sobie rozważyć głęboką prawdę tych słów. Ale... — Słowa nienawiści i oszczerstwa przeciw prawdzie Bożej, niesionej przez Kościół, słyszy się i czyta nie tylko za żelazną kurtyną. Pełno ich mają ci właśnie, którym się zdaje, że przez swój wrzask i hałas werbalny, któremu dodaje rezonansu niezgłębiona pustka ignorancji — kroczą w pierwszym szeregu obrońców „cywilizacji chrześcijańskiej" przeciw „wschodniemu barbarzyństwu". W tej „walce" od czasu do czasu użyczają ucha nawet „Watykanowi", wtedy mianowicie, gdy im się wydaje, że mogą taką czy inną enuncjację papieską „potraktować" jako opowiedzenie się Papieża za ich „frontem". Tymczasem Kościół potępiając komunizm, bynajmniej nie opowiada się po „ich" stronie, po stronie samozwańczych obrońców „cywilizacji chrześcijańskiej". Kościół potępił komunizm za to, co **istotnie** grozi od niego katolikom: za ateizm i filozofię materialistyczną. Kościół nie stanął bynajmniej po „tej" stronie, chociaż tak właśnie — w zgodzie z komunistami! — głoszą nasi „obrońcy". Warto zajrzeć do listu kardynałów francuskich, wydanego celem wyjaśnienia wiernym Dekretu.

J.T.

call of his exalted egoism". To nie jest to samo, panie Kott!

*

Wspaniałą odprawę dała Janowi Kottowi znana pisarka Maria Dąbrowska w zamieszczonym w maju 1946 w czasopiśmie „Warszawa" doskonałym szkicu p.t. „Conradowskie pojęcie wierności". Jak elaborat Kotta jest nadęty i zakłamany, tak praca Dąbrowskiej tchnie prostotą, szczerością. Pisana jest dobrą polszczyzną i uderza siłą nieodpartej argumentacji. Ponieważ tygodnik „Warszawa" został zamknięty i bodaj tylko jeden numer zawierający ten artykuł dotarł do Anglii, chciało by się po prostu przedrukować w całości wywody autorki „Nocy i dni". Niestety, ramy tego przeglądu nie pozwalają na to, musimy więc poprzestać na obszernych wyjątkach.

Po paru zdaniach wstępu, Dąbrowska pisze:

„Twierdzeniom Kotta przeciwstawiam sąd następujący: conradowska wierność (świadomie opuszczam słowa „samemu sobie", do których wrócę później) nie jest ani w intencji, ani w zetknięciu z konkretną społeczną rzeczywistością posłuszeństwem niewolników, wiernych panu, którym pogardzają, a tymbardziej nie jest ani świadomą, ani bezwiedną apologią posłuszeństwa pracowników morza kapitalistycznym przedsiębiorcom okrętowym. Natomiast — według mojego rozumienia twórczości Conrada — jego dzieło jest (oprócz wielu innych rzeczy, które zawiera) artystyczną próbą dociecezenia czy i w jaki sposób możliwe jest dla człowieka ocalić śród niemoralnego świata „interesów materialnych" wierność czemuś istotnie moralnemu i wartościowemu".

W drugim rozdziale swego szkicu autorka przypomina wrogi stosunek Conrada do kapitalizmu i imperializmu, ujawniony w „Nostromo", a zwłaszcza w przemilczanym przez Kotta „Jądrze ciemności". Pod względem ideologicznym Dąbrowska przyrównuje te dzieła do utworów Multatulego, choć, jak podkreśla, artyzmem przewyższają je o całe niebo.

Zaznaczywszy mimochodem, że „Conrad potrafił wymierzyć surową sprawiedliwość także światu stojącemu po przeciwnej stronie barykady", przechodzi Dąbrowska do definicji moralności.

„Śród wielu określeń moralności — pisze — można o niej powiedzieć i to, że jest wartościującym porządkowaniem środków i celów ludzkiego działania. Obserwujemy przy tym, że dla jednych ważniejsze moralnie są cele, dla innych — środki. Cele ważniejsze są dla natur, które najpierw dostrzegają idee generalne, a potem dopiero — rzeczy konkretne. Środki ważniejsze są dla natur, które dostrzegają najpierw rzeczy konkretne, a potem dopiero — idee generalne. Prócz wielu innych rzeczy, ta właśnie różnica — większej troski moralnej o środki niż o cele i na odwrót — decyduje o postawie humanistycznej i ahumanistycznej, zaś w pewnych krańcowych lub zboczeniowych (hitleryzm) wypadkach — antyhumanistycznej".

„Conrad — czytamy dalej — należy oczywiście do typu szczególnie uczulonego na moralną wartość środków i metod ludzkiego postępowania. Co nie znaczy, aby nie dostrzegał moralnej lub niemoralnej strony jawnych czy skrytych celów, chociaż, nie tworząc na zamówienie żadnego biura propagandy, nie zawsze to unaocznia, a czasem unaocznia to tylko dla bardzo uważnych czytelników".

Po przytoczeniu dalszych argumentów z „Nostroma" i „Jądra ciemności", Maria Dąbrowska stwierdza, że Conrad jest humanistą, gdyż „jedynym przedmiotem istotnie rzeczywistym, a więc godnym bezpośredniego i najgłębszego zainteresowania są dla niego żywe, konkretne osobistości ludzkie". W rozdziale drugim przygważdża autorka twierdzenie Kotta, jakoby J. Conrad był ostatnim moralistą mieszczaństwa.

„...koniec końców to, co rozumiemy pod słowami „moralność mieszczańska" (a cóż dopiero mówić o „ostatkach" tej moralności) jest moralnością konwencjonalną i zabezpieczoną, mówiąc słowami Conrada „przez opinię i policję". Otóż moralność Conrada nie tylko nie jest konwencjonalną, lecz jest osądzeniem wszelkiego konwencjonalizmu czyli umowności — na korzyść odwagi bycia sobą... Conrad wielokrotnie mówi sam, albo przez usta swych bohaterów, że istotną próbą wartości moralnej człowieka jest jego zachowanie się tam, gdzie nie sięgają wpływy i hamulce życia społecznego, zorganizowanego i zabezpieczonego. Wydobywa on niejako człowieka spośród społeczeńswa i stawia go sam na sam ze światem tak dalekim i obcym, że można się w nim nie krępować: z żywiołem oceanów, dziewiczej puszczy i pustynnych wybrzeży, ze środowiskiem dzikich, pierwotnych plemion lub ze szczupłym środowiskiem załogi okrętowej czy egzotycznej placówki kolonialnej. I to sprawdza, czy dany człowiek jest istotnie tym, za co w środowisku zorganizowanym, zabezpieczonym społecznie i osobiście, uchodził. Wystawiając człowieka na trudną próbę moralności, zakłada się jednak zwykle, że otrzymuje on lub wogóle posiada jakiś talizman, chroniący go od złego... Conrad na ogół nie daje swym bohaterom wiatyku w postaci wiary w nadprzyrodzone kryteria moralne, ani w żadną doktrynę społeczno-moralną. Co więcej, o ile ktoś z jego ludzi posiada taką busolę moralną religii lub doktryny świeckiej, okazuje się zazwyczaj, że to nie chroni go przed żadnego rodzaju złem, ani przed tragicznym załamaniem ducha... Czyż możliwe i dorzeczne jest przypuszczenie, że Conrad, pozbawiając swych ludzi potężnego bodźca i hamulca moralnego w postaci religii, doktryny czy idei, postąpił sobie tak okrutnie tylko na to, by chcąc nie chcąc, skazać ich na wiernoość armatorom okrętowym — jako na jedyną możliwą dla nich moralność? Tak odpowiedziałby niewątpliwie katolik i tak odpowiedziałby marksista".

Co do odpowiedzi katolika Dąbrowska pomyliła się. Ale o tym niżej, przy omawianiu studium Gołubiewa.

Autorka „Nocy i dni" stawia następnie pytanie czemu chce być wierny człowiek Conrada. Odpowiedź swą rozpoczyna od wytknięcia Kottowi lekkomyślnego dodania do słowa „wierny" określenia „samemu sobie".

„Conrad bowiem nigdy w żadnym ze swych dzieł nie mówi o „wierności samemu sobie"... Conrad używa wprawdzie tak niepodobających się Kottowi słów „honor" i „wierność", ale w jego ustach nie są one nigdy czczym dźwiękiem ani hasłem dwuznacznym. Nieopisany jest trud Conrada w dociekaniu istotnej treści tych słów i w ostrożnych, ale zaciekłych próbach określenia lub raczej pokazania źródeł moralności swych bohaterów... Ograniczę się do przytoczenia dwu zdań, które zapewne tkwią w pamięci każdego czytelnika Conrada. Jedno z nich mówi o „kilku prostych wyobrażeniach (moralnych) na których opiera się świat", drugie o „tajnej bliźniej więzi, łączącej nas z wszechstworzeniem i o subtelnym lecz niezłomnym poczuciu solidarności, która jednoczy samotne, nieprzeliczone serca". Rozpatrując te zdania na tle całej twórczości Conrada, możemy na ich podstawie orzec, że źródłem i celem laickiej oraz sceptycznej i dosłownej moralności humanizmu conradowskiego nie jest człowiek sam w sobie i sam dla siebie. Idzie tu natomiast o człowieka postępującego w myśl kilku prostych, ale wiecznie żywych wyobrażeń moralnych, oznaczających pewien niepodlegający zastrzeżeniom etyczny dorobek ludzkości. Temu to szczupłemu, ale właśnie dzięki tej szczupłości — uniwersalnemu — dorobkowi moralnemu ludzkości musi być podporządkowany każdy, kto chce mieć poczucie, że żyje według honoru czy godności prawowitego człowieczeństwa. W ten tylko sposób podtrzymuje się „bliźnią więź" między poszczególnym człowiekiem a światem ludzkim i bytem... ten skromny, ale niewątpliwy wśród bezmiaru względności świat moralny prześwieca poprzez wszystkie systemy społeczne czy to sowieckie czy religijne, pretendujące do porządkowania norm etycznych. Różnica między ludźmi tych systemów a Conradem jest ta, że jemu i jego ludziom owe kilka norm przyzwoitego, ludzkiego postępowania muszą — nie podparte żadną doktryną i żadnym dogmatem — wystarczać dla wytrzymania wszystkich pokus zdrady, muszą być dostatecznym bodźcem do postępowania nawet bohaterskiego i do przyjmowania rozwiązań nawet dla siebie tragicznych. Filozoficznie Conrad jest w tym wszystkim najbliższy M.J. Guyau i jego dzieła „Moralność bez sankcji i powinności". I może nie bez głębszego znaczenia są słowa jednego z ostatnich listów Conrada, w którym pisze, że pozostał do końca „członkiem załogi zaklętego okrętu, który bez sternika toczy się poprzez Nieznane". Prawie tymi samymi słowami kończy się wspomniana książka Guyau".

Rozdział trzeci kończy autorka następującym pięknym wywodem, w którym wyraźnie brzmią nuty tragicznego losu, jaki przypadł ludziom walczącym o wartości humanistyczne w Kraju:

„Żyjemy w ciemności i dlatego musimy być ostrożni, aby poruszając się w niej, nie przynieść szkody bliźnim i rzeczom wespół z nami w ciemności się poruszającym. Próba ciemności, niemiłosierna próba odjęcia ludziom światła złudzeń, jest najcięższą próbą ludzkiej moralności. Przez nią dopiero poznajemy wartość człowieka i jego duchowej kultury. Bo jeden będzie w ciemności uważał, by nie podbić komuś oka i będzie się starał podać rękę zabłąkanym w niej, a drugi skorzysta z ciemności, by okraść bliźniego. Wielki pisarz rosyjski Dostojewski powiedział, że jeśli nie ma Boga, to wszystko wolno, a wielki myśliciel francuski powiedział, że jeśli nie ma Boga, to nikt nas ze zbrodni nie rozgrzeszy, a więc tymbardziej nie należy się jej dopuszczać".

Rozdział następny poświęcony jest zestawieniu postawy etyki bezsankcyjnej Conrada z etyką społeczną w ujęciu Leona Petrażyckiego. Podkreśliwszy, że moralność autora „Nostroma", aczkolwiek sceptyczna i świecka, posiada jednak swoiste, lecz niewątpliwe oblicze społeczne, Maria Dąbrowska przechodzi do rozważań o autonomii moralnej człowieka.

„Taka autonomia — czytamy — istnieje i jest rzeczą równie realną jak wszystkie rzeczy realne. Taka autonomia wewnętrzna człowieka nie bywa nigdy wygodna dla żadnej władzy, skoro nawet lojalny Sokrates musiał przypłacić ją życiem. I choć to zakrawa na paradoks, Kott właśnie dlatego zwalcza „niebuntowniczość" postawy conradowskiej, że zawiera ona w sobie coś, co dla wyznawców świętości danej władzy jest bardziej denerwujące od buntu, zawiera niezależność duchową... Sądzę, że nadchodzący rozdział historii powszechnej będzie walką człowieka o prawo do autonomii wewnętrznej, które w ciągu ostatnich sześciu lat zostało całkowicie prawie zdeptane i zniszczone".

Następnie autorka szkicu przechodzi do analizy etyki conradowskiej na tle poglądów Petrażyckiego.

„Petrażycki rozróżnia jako realnie istniejące dwa rodzaje etyki — czytamy. — Etykę jednostronną, bohaterską i bezroszczeniową oraz etykę dwustronną, prawno-społeczną, roszczeniową. Etyka bezroszczeniowa działa na mocy nakazów religii, miłości ojczyzny, idei, honoru, sumienia i tym podobnych bodźców moralnych. Polega zaś na spełnianiu pewnych szlachetnych, a nawet bohaterskich uczynków bez zakładania, że te uczynki od nas się danym osobom czy sprawom należą i bez roszczeń, aby te osoby czy innego rodzaju sprawcy naszego postępowania, tak samo wobec nas postępowali. Etyka prawnospołeczna działa na mocy praw — obowiązków, które się nam od innych, a innym od nas należą. Polega na korzystaniu z tych praw i wykonywaniu tych obowiązków przez dwie zainteresowane strony. Nie potrzeba wyjaśniać, że etyka Conrada należy do pierwszego typu etyki bezroszczeniowej. Jego ludzie okazują wierność swemu statkowi, podjętej na nim pracy zawodowej, załogom i pasażerom statków — aż do bohaterstwa (kucharz okrętowy w „Smudze cienia") nie dlatego, że takie postępowanie od nich się armatorom okrętów należy, tylko dlatego, mówiąc niepopularnym dziś językiem Żeromskiego, że takie są ich (wynikające z wyżej podanych przesłanek) ludzkie obyczaje... Petrażycki nie degraduje wcale etyki bezroszczeniowej. Przeciwnie, twierdzi, że są momenty i okoliczności, w których ludzkość wyglądałaby bez niej bardzo nędznie, a jej mniejszą społecznie użyteczność przypisuje tylko temu, że etyką tego rodzaju są w stanie rządzić się tylko szczególnie wartościowe i dojrzałe duchowo, a więc raczej wyjątkowe jednostki. Przez próbę takiej właśnie wyjątkowej wartości przeprowadza swych ludzi Conrad i okruchów tej wyjątkowej wartości usiłuje doszukać się w najprymitywniejszych postaciach, aż do dzikich Murzynów włącznie".

„Jan Kott — kontynuuje Dąbrowska — nie tylko nie uznaje moralności conradowskiej za wyjątkowo wartościową, ale stawia ją wogóle pod znakiem zapytania i potępia Polaków właśnie za ich skłonność do conradowskiej postawy etycznej. Wiem doskonale, że my Polacy mamy w sobie owego „wina" wyjątkowej, bohaterskiej moralności aż nadmiar. Ale co zrobić, jeśli sytuacje są wyjątkowe? A my przecież najczęściej z takimi mamy do czynienia. Wiem też doskonale, że potrzebna nam jest ogromna doza pospolitej „wody życia" w postaci etyki prawno-społecznej Petrażyckiego. Ale nie lekceważmy postawy moralnej i kryteriów moralnych Conrada. Świat dzisiejszy, w którym przekroczone zostały wszystkie granice ludzkiej przyzwoitości i załamały się, autorytety wszystkich oficjalnych wiar, doktryn i dogmatów, stanął właśnie w obliczu conradowskiej próby moralności".

Na tym silnym akcencie kończy się główny nurt rozważań Marii Dąbrowskiej. Z żalem musimy pominąć jej dalsze, bardzo ciekawe, ale raczej marginesowe wywody.

Stanisław Pałęcki

W następnym n-rze tegoż autora „O Katolickości Conrada"

KATOLIK AMERYKAŃSKI O KAPITALIŹMIE

Zagadnienie stosunku katolicyzmu do kapitalizmu stało się na nowo aktualne dzięki wyraźnemu określeniu stosunku Kościoła do komunizmu. Toczy się na ten temat dyskusja interesująca wszystkich społecznie myślących katolików. Cytowana tu opinia wybitnego działacza katolickiego ze Stanów Zjednoczonych pozwala nam zapoznać się ze stanowiskiem zajmowanym w tej sprawie przez katolików kraju, w którym kapitalizm osiągnął swą najwyższą fazę rozwojową.

X. John F. Cronin, jeden z kierowników znanej katolickiej instytucji charytatywnej amerykańskiej NCWC napisał książkę o katolickich zasadach społecznych, z których fragmenty — pod powyższym tytułem — drukuje katolicka prasa angielska, nawiązując do głośnego listu kardynałów francuskich w sprawie stosunku Kościoła do katolicyzmu.

X. Cronin stwierdza, że definicje kapitalizmu inaczej są formułowane w Europie, a inaczej w Ameryce.

„Przeciętny Amerykanin... uważa kapitalizm za synonim własności prywatnej i wolnej inicjatywy gospodarczej, które w jego mniemaniu są podstawą naszej (amerykańskiej) demokracji politycznej... Elementy, jakie wielu Europejczyków umieszcza w definicji systemu, Amerykanie uważają bądź za zwyrodnienie kapitalizmu, bądź za jego cechy przypadkowe, które możnaby naprawić...Jeśli przyjmiemy ogólnie przyjęte, amerykańskie pojęcie kapitalizmu, to nie jest wcale rzeczą jasną, że Kościół potępia kapitalizm".

Autor analizuje poszczególne składniki amerykańskiego pojęcia kapitalizmu i dochodzi do wniosku, że Kościół nie ma zastrzeżeń co do prywatnej własności, oraz nie ma zastrzeżeń co do inwestowania kapitałów na powiększenie środków produkcji. „Może być więcej wahania co do wolnej inicjatywy, ale wiele tu zależy od definicji. ...Możemy potępiać samolubny indywidualizm. Możemy rejestrować nadużycia, które kwitły przy naszym obecnym systemie; mianowicie koncentrację potęgi, nierówność i brak zabezpieczenia (insecurity). Ale można bronić poglądu, że takie nadużycia można naprawić, nie niszcząc prywatnej własności, ani nie ustanawając takiej kontroli nad przedsiębiorczością i inicjatywą, która sprawiłaby, że ta ostatnia nie byłaby już wolna".

Dodaje wreszcie:

„Historycznie, jedną z cech kapitalizmu jest system płac, polegający na tym, że robotnicy udzielają swej umiejętności i siły, korzystając z własności kogoś innego, na to, by wytwarzać dobra lub usługi. Wytwory tą drogą uzyskane zostają sprzedane przez właściciela owej własności, który płaci robotnikom za ich pracę i zatrzymuje część dochodu jako swój własny w nim udział, mianowicie za użycie jego własności. Jak powiedział Papież Pius XI, „nie należy (takiego systemu) potępiać". „Nie jest on zdrożny z natury". Lecz jest poważnym nadużyciem, jeśli kapitał używa swej siły w ten sposób, że narusza „ludzką godność robotników, społeczny charakter działalności gospodarczej, samą sprawiedliwość społeczną, oraz dobro ogółu". Tak więc, wynajmowanie robotników przez pracodawcę jest dopuszczalną formą życia gospodarczego pod warunkiem, iż się przestrzega społecznej strony procesu".

ANDRZEJ ZYNDRAM

GANDAWA

WSPOMNIENIE

RŻNIEMY pełnym gazem przez Belgię. Dziś, w wrześniowe popołudnie, w łagodnym, błogosławiącym uśmiechu słońca, czołgi nasze walą przez Gandawę.

Rozpiera nas duma i pewność siebie, gdy masą naszego żelastwa przepoławiamy tłum rozwrzeszczanych cywili wzdłuż entuzjastycznych szpalerów. A bo jest nas tu masa. Całe stare, stylowe miasto przepływa jedna, niekończąca się rzeka naszej stali, naszej zmotoryzowanej piechoty, naszych kolumn zaopatrzenia. Dziś aktorami jesteśmy tu my, z naszą zaklętą w żelazo potęgą, dla dekoracji gotyk i renesans, no i obiegający zewsząd nasz przemarsz — tłum.

Chorągiewki i butelki koniaku, wrzask, bełkot radia w słuchawkach, kwiaty, całe bukiety, huk czołgów, od którego trzęsą się wązkie uliczki i nasze własne tętniące z dumy i bojowego rozpędu serca... My, pierwsza pancerna... patrzcie na nas, des Polonais, na naszą ilość i potęgę... stać nas na to, by na każdym froncie taką siłę wystawić! Za naszą i waszą wolność! Biją serca, ręce bolą od machania, zbierania w przelocie kwiatów, a chętniej butelek... w uszach szum... szum...

Kolumny idą dalej na Lokeren, na Antwerpię. Tu zostanie tylko grupa wydzielona by oczyścić północną stronę miasta, w której jeszcze buszują Niemcy.

Jeepy regulacji ruchu w białych opaskach, strzałki kierunkowe, tablice orientacyjne... i wszędzie wirujące kolory belgijskie, żółte, czerwone i czarne... Gandawa szaleje... my też.

Po stratowanej, tonącej w kurzu Normandii, po dzikim pościgu przez pustawą Francję, poprzez zharatane wojną i biedą miasteczka, po kontakcie z raczej apatyczną, zainteresowaną głównie swymi prywatnymi stratami i możliwością szybkiego uzyskania żywności i papierosów, które są spodziewane tuż za czołgami szpicy, ludnością, czujemy się dopiero, od przekroczenia niedawno granicy belgijskiej, naprawdę na kontynencie. Tam, w końcu lipca, w Normandii, rzuciłem się entuzjastycznie wraz z paroma kolegami na pierwszego po czterech latach Anglii spotkanego tubylca ze stałego lądu. Klepaliśmy go i nawtykaliśmy papierosów, aż się wkońcu rozruszał i przestał patrzeć z podełba. Niezapomnieliśmy przytem, wetrzeć mu dobrze w pamięć, że jesteśmy Polakami.

W końcu zdołaliśmy wydębić z niego dłuższe zdanie. Brzmiało:

—„Polonais, Anglais, Americains... vous tous ruinez les patates..."

Pierwszy tubylec stanowczo nam się nie udał, ale ten i parę podobnych wypadków ostudziły nasz zapał.

Kontynent! Czujemy go naprawdę dopiero tu. Rozumiemy teraz wyraźnie za czym tak w Anglii zawsze tęskniliśmy... Atmosfera i czar kontynentu... Czar uścisków dziesiątków serdecznych rąk czepiających się naszych czołgów Belgów, które po Anglii uderzają swoją innością, czar malutkich kafejek na trotuarach zaśmieconych uliczek, czar koniaku i kobiet o innym uśmiechu...

Żyjemy tylko momentem. Nasz zawód — wyswobodziciele. Nasz bilet wizytowy — „Polandy", no i skrzydła husarskie na lewym rękawie.

Mam tu czekać na dowódcę ostatniej kolumny, która, jak liczę, nadejdzie dopiero za parę godzin. Wyrywam się z moim jeep'em z kolumny i na siłę przebijając się przez tłum, który nas poklepuje, ściska i tarmosi, ląduję w wąskiej, starej uliczce. Jedziemy kawałek w stronę Château des Comtes, zajmując całą jezdnię odwiecznej uliczki, której flamandzkie domy patrzą jakby ze zdziwieniem na hałaśliwego intruza. Jest tu zupełnie pusto — wszystko co żyje wyległo na główną arterię przeżywać wyzwolenie, największy moment ich życia. Tu — dekorowane budowle, niegdyś siedziby dumnego patrycjatu stolicy Flandrii śpią puste w ciasnej uliczce snem wieków co tyle widziały... flandryjskie wieki... Patrzą na nas czeluście otwartych okien, stukają tu i ówdzie niedomknięte w pośpiechu drzwi, domy zdają się mówi:

—„Ludzie, ludzie, myśmy tyle już widziały... i tyle jeszcze zobaczymy, ale wy się cieszcie dniem, bo wasze życia krótkie i niespokojne..."

Nareszcie za rogiem, za starą latarnią jest trochę życia i gwaru, otwarta bar-kafejka, gra radio, przez rozwarte szeroko okna widać stare, stylowe wnętrze, bar z omszałymi butelkami, za nim pulchna, roześmiana właścicielka, jakieś rozchichotane dziewczyny, którym przygląda się przystojny król Leopold na wyciągniętej świeżo z zakamarka fotografii.

No i, myślę, są, Romek z kwatery głównej, ten zawsze dobrze trafi, Antek i Jurek z Shermanów i Mietek z rozpoznawczych carriersów piechoty. Przed drzwiami, na ulicy dwa scout-cary. Siadamy w pięciu przy stoliku pod oknem, płynie muzyka z przyciszonego radia, płynie koniak z paru butelek. Dziewczyny przestały wreszcie rechotać po kątach, wyczuły przypływ ogarniającego nas poważniejszego nastroju.

Trzech z nas czeka na rozpoczęcie za parę godzin akcji dla wykurzenia Niemców z północnych przedmieść Gandawy. Ich sprzęt stoi w uliczce w pobliżu. Dziwne to dziś miasto, jedna część bije pod niebo wrzawą wolności, czym dalej na północ, tym mniej flag, coraz ciszej i wreszcie pozycje Niemców, którzy chcą opóźnić naszą robotę wyzwoleńczą. Miasto o dwóch twarzach, — jednej pijanej radością, — drugiej bladej z cichego przestrachu, czekającej na nasze przybycie. Na jednej uliczce tańczono, tarasując drogę naszej piechocie, w kwaterze naszej grupy operacyjnej, w hotelu „De La Poste" można było z okna przydzielonego pokoju, o ile był na pierwszym piętrze, wsiadać prosto do stojących pod murami Cromwelli i jechać do akcji; — tuż, niedaleko, Niemcy wznosili barykady.

Ci trzej mieli je za parę godzin roztratować swymi gąsienicami. Mówiliśmy chaotycznie, głośno, buńczucznie, cedząc fachowe wyrażenia przez spalone słońcem i wiatrem usta. Niedbale naciągnięte, nieodłączne berety, zbrązowiałe ręce obejmują kieliszki, pistolety swoistym fasonem zwisają w parcianych pochwach aż do kolan, wysmarowane kombinezony, męskość i przebojowość.

Żyjemy tylko dziś, jesteśmy pijani naszym pięknym dziś! Jutro, kto wie, może Lokeren, potem pewnie Antwerpia... co dalej — nie próbujemy nawet myśleć. W głowach jest tylko pancerny marsz, chrzęszczą gąsienice, huczy echo okrzyków wyswabadzanego tłumu... Butelka — znowu butelka. Pieniądz jest łatwy, mało ważny, nikt się nad nim nie rozczula.

Sam nie wiem dlaczego rzucam pytanie:

— No, a co będzie dalej?

Pada niechętnie w niespokojną glebę.

— No cóż... Antwerpia... pewnie Holandia... może drewniany krzyżyk, bo tak bezkarnie taki kawał Europy to też niby trudno... ja pewnie do Szkoły wojennej w Anglii...

Odpowiedzi mają nagle zwolniałe tempo.

— A potem... gdy się to skończy?

Tu uderzam w ścianę obaw i niepewności, tęsknot i niepokoju... jest smutek i przygaszenie... w oczach malują się troski, powstające w oparach gandawskiego koniaku i wolności, naszej nieznanej, upragnionej i oczekiwanej z niepokojem chwili, gdy ta przytłaczająca rzeczywistość się skończy.

Wstają powoli jakby spłoszeni mymi pytaniami, wyczuwam lekki, niewytłumaczalny żal za popsuty nastrój popijawy i jednocześnie pewną satysfakcję, że znalazło się miejsce na pomyślenie o czymś innym, niż nasze stałe dziś.

Czuję, że dla każdego z nich idąca rzeczywistość wyobrażona jest jakoś inaczej, albo personifikuje się w jakiejś osobie, z którą pragną ponownego zetknięcia, a jednocześnie boją się, albo powoduje przewidywanie jakiejś beznadziejnej pustki i szarpaniny, gdy ta, tak pięknie idąca maszyna ruchu wreszcie się zatrzyma. Kiedy?... Co dalej?...

Pod oknem sunie trójkami na poczekaniu sklecony z tutejszego ruchu oporu mały oddziałek piechoty. Mają już mundury, ręce ściskają steny i karabiny, są dumni i wzruszeni. Idą odwalić ostatnią robotę, bije od nich radość i niecierpliwość. Oni, Belgowie, weszli już w progi swej wyczekiwanej przyszłości, z rozkoszą myślą o jutrze.

My, żołnierze o tylu niewiadomych przed nami, patrzymy za nimi nagle z przymieszką uczucia zazdrości. My przeżywamy teraz swój punkt kulminacyjny, żyjemy dziś, co nam jutro przyniesie — nie wiemy.

Czołgiści wyszli na ulice. Ogarnął ich wrześniowy wiatr wciskający się ciekawie w wąskie uliczki. Szli coraz raźniej, coraz bardziej zamaszyście, pochłonęła ich już zbliżająca się akcja.

W sąsiedniej uliczce zapuścił motor Sherman, jeden... drugi... bije w mury czołgowa symfonia... wprzęga w swój rytm nasze stęsknione, niespokojne serca...

Wzdłuż murów idzie gęsiego po obu stronach ulicy nasza piechota. Twarze sczerniałe od słońca i kurzu, kwiaty tu i ówdzie pozatykane jeszcze w oporządzenie, podwinięte za łokcie rękawy kombinezonów. Są wyraźnie w humorze, gwiżdżą i sypią dowcipami. Tylko kwadraciki opatrunków zatknięte w pogotowiu pod siatkami maskowniczymi hełmów przypominają o celu tej turystyki po starych zaułkach.

Osuszamy z Romkiem resztę koniaku z cienkich kieliszków, mówimy, że właściwie mamy jeszcze wszyscy sporo czasu, że nie doszliśmy jeszcze do skrajnych dróg życia... może wogóle nie dojdziemy... Powoli wychodzimy.

W drzwiach słyszę, jak starszawa, wszystko rozumiejąca właścicielka, kołysząc ciężkim biustem, szepce nad pucowanymi przez się kieliszkami:

„Les Polonais, si gentils... et c'est si triste."

Bierze mnie nagle cholera, muszę się wyładować, przyduszam ją całym gniewnym repertuarem komentarzy do jej „tristes". Belgowie, to dopiero tristes... niech się odczepi od ronienia barowych łez nad Polakami...

Jest mi odrazu głupio i wstyd mego wybuchu. Rzucam jej prędko papierek nowych alianckich stufranków na ladę. Jej rybie oczy stają się coraz bardziej ze zdumienia wypukłe, nie może pojąć skomplikowanego rozwoju uczuć liberatora, otwarła szeroko usta.

Porywa nas fala maszerującej piechoty. Idą płacić w tym wrześniu rachunki za inny wrzesień...

Przez skrzyżowanie płynie kolumna czołgów... Cromwelle... Shermany... Stuarty... trwa jeden piekielny, ogłuszający ryk silników... bije w gandawskie niebo polski, pancerny karnawał... w oknach ukazują się biało-czerwone flagi...

Andrzej Zyndram

Z CZASOPISM OBCYCH

CZY DAĆ NIEMCOM BROŃ DO RĘKI?

REMILITARYZACJA NIEMIEC

Sprawa ta, o której było cicho przez kilka miesięcy, znowu powraca na łamy prasy światowej. Szwajcarska „Die Weltwoche" poświęciła jej naczelny artykuł pod prowokacyjnym tytułem „Niemcy nie powinni się uchylać" (Deutschland darf sich nicht drücken). Sprawa nabrała takiego rozgłosu, że Adenauer zajął się nią w oficjalnym oświadczeniu. Miesięcznik katolicki „Frankfurter Hefte", który w zeszłym roku ujawnił i napiętnował te sugestie, nie wychodzące zresztą z kół niemieckich, pisze o ich odnowieniu w notatce redakcyjnej zeszytu styczniowego zatytułowanej „Upiór niemieckiej remilitaryzacji". Pismo stwierdza, że Adenauer coprawda odrzucił te sugestie, ale „niedość energicznie". Nie powinien był podejmować tego tematu jako przedmiotu ewtl. pertraktacji. „Uważamy to za błąd, i to za błąd niebezpieczny".

A oto argumenty niemieckiego miesięcznika. „Niekompletne dozbrojenie Niemiec byłoby bez wartości, pełne zaś przyspieszyło by wojnę", bo sprowokowało by przeciwnika zanim Niemcy były by uzbrojone. Następnie, zbrojenia zburzyły by nową politykę wewnętrzną Republiki Związkowej (tj. Niemiec Zachodnich), opartą na likwidacji nazizmu i militaryzmu. Wreszcie „nie należy o tej sprawie mówić (lub zgoła decydować) ponad głowami Niemców, jak gdyby każdy Michałek marzył o tym, by jak najszybciej zostać znowu muszkieterem". Większość Niemców bowiem wciąż jeszcze przeciwna jest remilitaryzacji. Wystarczy jednak powtarzać te sugestie, by wreszcie lada wzrost bezrobocia czy wzmożenie propagandy nacjonalistycznej radykalnie zmieniły sytuację.

O kontyngencie niemieckim w ramach armii europejskiej nie warto — zdaniem „Frankfurter Hefte" — wogóle mówić dopóki armia taka nie powstanie, a w każdym razie dopóki nie zostaną stworzone władze mające tą armią dysponować.

NARODY POTĘŻNIEJĄ — SŁABNĄ IMPERIA

Marzenia Wendell Willkie'go o „jednym świecie" nie spełniły się — pisze szwajcarska „Die Weltwoche" w artykule pod powyższym tytułem. Nawet podział świata na bloki narodów okazuje się planem coraz mniej realnym. Okres powojenny charakteryzuje raczej niezwykły rozkwit idei narodowej i wzmożony opór narodów przeciwko zaborczym zakusom mocarstw.

Izrael, Indie, Pakistan, Indonezja, Jugosławia, Chiny a także Ameryka Południowa i Środkowa dały dowód, że czasy nasze są okresem „emancypacji narodowej" a nie grupowania się narodów w związki regionalne czy bloki kontynentalne. Proces ten uderza przede wszystkim swoją żywiołością, a następnie i tym, że odbywa się przy minimalnym rozlewie krwi.

Czy to odrodzenie idei narodowej określimy jako dążenie narodów do niepodległości czy raczej jako dążenie elit narodowych do władzy — faktem pozostanie, że spotykamy się tu z siłą dziejową, zdolną oprzeć się imperiom i nie załamującą się w żadnej wojnie nerwów. Oczywiście, reguła ta ma swoje wyjątki. Narody bałtyckie okazały się zbyt słabe, by przeforsować swoją wolę. Ale nie jest rzeczą dziwną, że słabi ulegają silnym, dziwne jest, że w świecie tak skurczonym wogóle jeszcze mogą powstać nowe narody i ostać się przed naciskiem imperialistycznych kolosów.

Fakt ten uderza zarówno w optymistyczne przeświadczenie o pochodzie ludzkości ku zjednoczeniu, jak i w pesymistyczne przewidywanie powszechnego poddaństwa i standardyzacji. W ruchu niepodległościowym narodów wyraża się idea różnorodności kultur i dlatego — konkluduje „Die Weltwoche" — trzeba go uznać za gwarancję ludzkiej wolności. Jest on i powinien być źródłem otuchy, bo świadczy, że dążenie do organizowania wszystkiego ma swoje granice.

SZPIEG PRZECHYTRZONY I NIE WYZYSKANY

Gdy von Papen był ambasadorem Hitlera w Ankarze, miał podwładnego nazwiskiem Moyzisch, który opublikował obecnie książkę pt. „Der Fall Cicero". Opisuje w niej perypetie fantastycznej historii szpiegowskiej, której smak polega na tym, że Ribbentrop wydał ok. 300 tysięcy funtów szterlingów na autentyczne informacje o planach alianckich na Bliskim Wschodzie, ale z rewelacji tych nie skorzystał, bo nie zgadzały się z tym, co sam myślał o brytyjskich możliwościach strategicznych.

Dostawcą tych materiałów był służący brytyjskiego ambasadora w Ankarze, Sir Hugh Knatchbull-Hugessena, Albańczyk, o niezwykłym nazwisku Cicero. Motywem jego zdrady była zemsta na Anglikach za śmiertelne postrzelenie jego ojca na jakimś polowaniu. Skorzystał on z bezsenności swego pana, a właściwie z głębokiego snu, w jaki ambasador zapadał po zażyciu środka nasennego, by dobrać się do jego szafy żelaznej, fotografować Leiką tajne dokumenty i sprzedawać je za ogromne sumy (nie mniejsze w każdym wypadku niż 20 tys. funtów) urzędnikowi ambasady niemieckiej.

Pewnego dnia von Papen zdradził się w rozmowie z tureckim ministrem spraw zagranicznych z posiadania tych informacji i Anglicy zastosowali dodatkowe środki ostrożności, które Cicerona jednak nie zraziły. Gdy sekretarka Moyzischa, pośrednicząca między nim a Albańczykiem, zdezerterowała do Anglików, Cicero także wnet zniknął i nikt nie wie co się z nim stało. Wkrótce, odwołany w związku z tą sprawą do Berlina Moyzisch również „wybrał wolność".

Tak więc Cicero ryzykował życie, by się zemścić na Anglikach przez wykradanie im tajemnic wojskowych, von Papen ryzykował skandal dyplomatyczny przekupując — w stolicy neutralnego państwa! — służącego swego brytyjskiego kolegi, Moyzisch ryzykował conajmniej wydalenie z Turcji — tylko Ribbentrop ryzykował nie wiele, bo płacił Ciceronowi funtami... wydrukowanymi w Berlinie. Może to był też prawdziwy powód jego braku zaufania do materiałów Cicerona?

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

TRZYSTOLECIE „OGNIEM I MIECZEM" (3)

„INITIUM CALAMITATUM"

ZANIM przyszedł fatalny rok 1648 i późniejsze klęski zeń powstałe, znała już Polska ciężkie okresy i nieszczęścia narodowe na przestrzeni swej dotychczasowej sześćsetletniej historii państwowej. Ale ze wszystkich tych t e r m i n ó w wychodziła zawsze zwycięsko i można by o niej powiedzieć to, co kiedyś mówiono o „fortunie Franków" („magna Francorum fortuna"), że „in malis semper major resurrexit". Tak po pierwszym naszym „potopie" za Mieszka II przyszedł świetny okres Bolesławów Śmiałego i Krzywoustego, po inwazji tatarskiej i drugim „potopie" za Łokietka, przyszło odrodzenie królestwa i złote czasy Kaźmierzowe, będące wstępem do najszczęśliwszej epoki, jagiellońskiej. Tymczasem wraz z buntem kozackim linia naszych dziejów nieodwracalnie przechyla się ku dołowi. Dlatego od tej chwili zwykliśmy liczyć okres upadania Polski.

Jest rzeczą znamienną, że ten punkt zwrotny naszego rozwoju państwowego nie uszedł oczom współczesnych: Od razu wyciągnęli oni złą dla Polski wróżbę z inicjałów nowego elekta, Jana Kazimierza (I o a n n e s C a s i m i r u s R e x) —czytając w nich zapowiedź dalszych nieszczęść: — I n i t i u m C a l a m i t a t u m R e g n i. Trzeba pamiętać, że owe klęski przyszły po nieprzerwanym niemal okresie „potęgi i chwały", w którym f o r t u n a Polski wciąż szła w górę, a wszelkie niepowodzenia zastawały naród gotowy do odwetu. Więc za Wiedroszę zapłaciła Polska pod Orszą, za Połock — pod Pskowem, a za Cecorę — pod Chocimem. Tymczasem to, co wówczas nastąpiło, zastawało państwo sparaliżowane najgorszą chorobą, braku kierownictwa, oraz konfliktem pomiędzy Rzeczpospolitą a dynastią, w którym zabójczą dla narodowych interesów rolę odegrał kanclerz Ossoliński.

Jan Kazimierz, ostatni i najgorszy z Wazów jako monarcha i najlichszy jako człowiek, bardziej podobny był z charakteru do ojca, Zygmunta III, niż do Władysława IV, chociaż od obu miał mniejsze ambicje. W polityce, podobnie jak Zygmunt III, stawał się raczej satelitą obcej polityki, niżby posiadał własną. O ile jednak Zygmunt ulegał swoim spowiednikom, mając zresztą o wiele więcej charakteru oraz głębokie i szczere przeświadczenie o swojej misji — na podobieństwo hiszpańskiego Filipa II, Jan Kazimierz był moralnym zerem, a w polityce narzędziem swoich faworytów i swojej żony. Zamiast roztaczać majestat królewski, to czego nade wszystko wymagali Polacy od swoich monarchów, bardziej niż rzeczywistej władzy — Jan Kazimierz na majestat tylko pozował. Bogusław Radziwiłł nazwie go „człowiekiem z miną", którego by chętnie „kopnął z uszanowaniem" (historyczne). Niczego podobnego nie powiedziałby nikt o żadnym innym z naszych królów, chyba o Michale Korybucie, który w niczem nie był podobny do Jeremiego.

Król z taką „miną" otaczać się będzie moralnymi marnotami, jak Radziejowski, Bogusław Leszczyński lub Morsztyn, zamknie zaś drogę emulacji ludziom wybitnym i utalentowanym, jeżeli nie będą giętkimi dworakami. Wiśniowieckiemu wręcz powie: „Służyłeś Rzpltej, ale nie nam, nie chciałeś nas mieć królem, my nie chcemy, abyś był hetmanem. Trzeba, aby monarchowie tych szanowali, którzy ich zdrowia pilnują i dobrze im życzą". Wiśniowiecki „za swoje grzechy" przyjął tę krzywdę, ale Jerzy Lubomirski „resurrector Regni", poskromiciel Szwedów, Moskwy i Rakoczego — nie znajdzie w sobie tyle obywatelskiego hartu i, pokrzywdzony, stanie na czele rokoszu. A Janusz Radziwiłł, którego Władysław IV umiał okiełznać i wykorzystać i który przy innym królu rozwinąłby swój talent znakomitego wodza, pójdzie w ślady Chmielnickiego. Cóż dziwnego, że przy takim królu Karol Gustaw nie znajdzie prawie oporu, — i że podczas Rokoszu nawet Czarniecki i Sobieski będą bezsilni?

Cóż z tego, że Jan Kazimierz miał intencje wzmocnienia władzy monarszej, kiedy nie umiał używać nawet tej władzy jaką posiadał i swoją nieudolnością, małymi intrygami i gorszącymi zatargami z poddanymi władzę królewską w Polsce do szczętu zdyskredytował i otworzył drogę anarchii. Francja znała takie czasy za ostatnich Walezjuszów i za regencji Marii Medycejskiej, ale później znalazła kardynała Richelieu. Polska za to dostała swojego Kondeusza, Sobieskiego, a potrzebowała jeżeli nie Richelieu, to drugiego Batorego.

Wstępując na tron miał Jan Kazimierz jedno główne zadanie: rozwiązanie kwestii kozackiej. W tym stadium, w którym ją zastawał, nie była ona już tylko lokalnym zagadnieniem Zaporoża, ale stawała się kwestią Rusi polskiej jako całości. Instynkt narodu, instynkt mas szlacheckich, domagał się odłączenia sprawy kozackiej od jej nowych, szerszych aspektów, przybranych ze względów taktycznych. Jak wiadomo, dawniejsze zatargi wypływały z samowolnych wypraw kozackich na Turcję, które ściągały na Polskę odwetowe wyprawy tatarskie — i z represyjnych zarządzeń, jakimi Rzeczpospolita próbowała kozaków powściągnąć, ograniczając „dawne swobody". Chmielnicki jednak chcąc porwać za sobą masy chłopskie na Ukrainie, związał ze sprawą kozacką sprawę prawosławia, nadając buntowi zaporoskich malkontentów — wojowników, charakter ludowego powstania mas ruskich. Szedł on za przykładem organizatorów buntu z r. 1625, którzy byli jednak w zmowie z Moskwą, gdy Chmielnicki „bronił prawosławia" pod protekcją chana tatarskiego. Ten charakter buntu zagrażał jedności państwa i wymagał jak najbardziej stanowczych kroków.

Państwo polsko-litewskie było r z e c z ą p o s p o l i t ą z królem na czele, a piastunami jego r a c j i s t a n u byli zarówno królowie jak i naród szlachecki. Tak było już za Jagielonów a po wygaśnięciu tej ostatniej n a r o d o w e j dynastii stało się to tym wyraźniejsze. Pod względem koncepcji politycznej zrazu przodowała właściwa Małopolska, Krakowskie, zatem dzielnica sąsiadująca z Czechami i z Węgrami, kiedy polityka Polski miała wciąż orientację głównie w kierunku środkowej Europy. Wtedy jako dominujące powtarzają się wciąż nazwiska Tarnowskich, Tenczyńskich, Firlejów, Kmitów. Ale już w drugiej połowie XVI w. na czoło życia państwowego Rzeczpospolitej wysuwają się „ziemie ruskie", i odtąd i w radzie i na polach bitew zasłyną nowe nazwiska Zamoyskich, Żółkiewskich, Koniecpolskich, Potockich, Sobieskich. Sejmiki ziem ruskich będą prawdziwą szkołą myśli politycznej, a szlachta tych ziem zawsze będzie stawała pierwsza do pospolitego ruszenia, najczęściej w prześwietnym grodzie Sądowej Wiszni, na wezwanie swojego politycznego i wojskowego przywódcy, wojewody ruskiego. Kiedy wybuchnął bunt Chmielnickiego, wojewodą ruskim był, po wsławionym pod Chocimem wodzu, Stanisławie Lubomirskim, Jeremi Wiśniowiecki. On też wobec króla i wobec Rzeczpospolitej stanie jako wyraziciel tej najstarszej naszej dzielnicy wschodniej, ziemi halickiej, choć aż przez swoje pochodzenie i tradycje będzie wyrazicielem całej Rusi polskiej. Jeżeli więc Chmielnicki przedstawia Ruś zbuntowaną, Wiśniowiecki reprezentował Ruś wierną.

Dotrzymała bowiem wierności Rzeczpospolitej szlachta ruska obu wyznań, chociaż Chmielnicki starał się przyciągnąć do buntu także szlachtę, prawosławną i różnowierczą i miał nieco szlachty wśród swoich przywódców. Dotrzymały wierności miasta, jak przede wszystkim Lwów, który bez względu na swój skład różnojęzyczny i różnowyznaniowy da w tych czasach przykład patriotyzmu całej Rzeczpospolitej. Ustaną też waśnie między „królewiętami", gdyż celem wszystkich stanie się ugaszenie pożaru kozackiego ratowanie nie tylko własnych fortun, ale granic, a nawet fundamentów państwa.

Tymczasem polityka wobec kozaków nieszczęsnego Jana Kazimierza była ustawicznym tańcem pomiędzy jednostronnymi koncesjami i ugodą, a niepotrzebnymi, krwawymi p a c y f i k a c j a m i. I Wiśniowiecki „ścinał" kiedy walczył z buntem, ale jego celem było definitywne rozwiązanie jątrzącej sprawy, co było możliwe tylko po zupełnym zwycięstwie. Tak rozwiązują tego rodzaju problemy dobrze rządzone imperia. Nie rozumiał jednak tego Jan Kazimierz i był wciąż igraszką chytrej polityki Chmielnickiego. Nieustannie zaś zwodzony przez kozackiego hetmana, kiedy koncesje nie pomagały, próbował go nawracać represjami na najmniej winnej ludności Podola i Wołynia, w czym się m.in. wsławił Czarniecki. Taka polityka niczego nie załatwia, budzi tylko nienawiść.

Wśród historyków polskich opinie na temat politycznej strony naszych wojen kozackich nie są jednolite, tak samo jak opinie o głównych bohaterach tych wojen. Płynie to z pewnej aktualności samego zagadnienia oraz z uprzedzeń poszczególnych autorów wobec socjalnych aspektów powstania kozackiego. U szlachetnego Szajnochy sympatie są po stronie upośledzonej klasy chłopsko-kozackiej, a nie po stronie „królewiąt", więc nawet przymyka oczy na prawdę historyczną. Górce znowu imponuje powodzenie Chmielnickiego i jego niewątpliwe zdolności, więc będzie z niego robił niemal bohatera polskiego, niedoszłego Cromwella. Natomiast dla Kubali, który był prawdziwym historykiem, pomimo że był „tylko" profesorem gimnazjalnym, przekonywujące były same fakty, których nie może przeinaczyć żadna tendencja. Sienkiewicz w swoim „Ogniem i Mieczem" poszedł za Kubalą i z genialną przenikliwością wielkiego artysty zarysował niezapomniane wizerunki: jasną postać rycerską Jeremiego i niby olbrzymi cień padający na dzieje Rzeczpospolitej — postać Chmielnickiego.

Tadeusz Piszczkowski

DYSKUSJE

J. Giertych: O polskim

NAWIĄZUJĄC do ostatnich paru artykułów p. W. Wasiutyńskiego w kilku numerach ŻYCIA i do listu p. T. Kęsika w numerze 3(134), pragnąłbym zająć się niedocenianym zjawiskiem, jakim jest fakt rozpowszechnionego polskiego indyferentyzmu religijnego.

Muszę na wstępie uczynić jedno rozróżnienie. Zwykło się mówić dość często —także i pisać na łamach ŻYCIA — o różnych wadach polskiego katolicyzmu i ilustrować to przykładami, zaczerpniętymi z czegoś, co z katolicyzmem polskim, albo jakimkolwiek innym, ma niezmiernie mało wspólnego. Wydaje mi się, że czas już jest, byśmy zaczęli w naszych pojęciach rozróżniać polski katolicyzm od istniejącego poza nim, lub na jego peryferiach polskiego indyferentyzmu. Polski katolicyzm ma swoje wady i zalety; swoje silne i słabe strony. Z jednych i z drugich trzeba sobie zdawać sprawę. Warto jest zalety polskiego katolicyzmu pielęgnować, trzeba pracować nad usunięciem, lub zmniejszeniem jego wad. Ale nie należy zamącać obrazu rzeczywistości przypisywaniem polskiemu katolicyzmowi cech, które są cechami nie jego.

Szereg przyczyn natury historyczno-politycznej sprawił, że nazwą katolika określany jest w Polsce potocznie każdy człowiek, chrzczony w wierze katolickiej, który formalnie na inne wyznania nie przeszedł; znany mi jest wypadek, gdy notoryczny działacz bezwyznaniowy, w pewnej sytuacji, zapytany o wyznanie, odpowiedział: rzymski katolik. Pojęcie katolika stało się u nas pojęciem rubryki paszportowej, takim, jak przynależność państwowa, miejsce urodzenia, lub kolor włosów. Oczywiście, w obliczu Kościoła, każdy człowiek, ochrzczony w wierze katolickiej, jest katolikiem, choć może katolikiem upadłym, lub obumarłym. Ale wyraz katolik określa także i co innego. W sensie ścisłym oznacza on katolika świadomego. We Francji np. gdy się o kimś mówi: „to jest katolik", to się stwierdza, że jest to człowiek wierzący i praktykujący, oraz w pełni wyznający katolicki światopogląd i stosujący się do nakazów katolickiej moralności; nikt tam katolikiem nie nazwie człowieka, który był ostatni raz u spowiedzi 20 lat temu w dniu swego ślubu, który bywa w kościele tylko z okazji jakichś uroczystości rodzinnych, czy publicznych i kto np. deklaruje się jako wróg Stolicy Apostolskiej. W ostatnich latach przed wojną to znaczenie pojęcia katolika zaczęło się ucierać w Polsce. Jest ono dziś w pełni w użyciu w kraju. Dlaczego ono wyszło z użycia na emigracji?

Artykuły p. Wasiutyńskiego są w liniach generalnych bardzo słuszne (nie mogę tego powiedzieć o liście p. Kęsika), ale niesłusznie zapominają o rozróżnieniu między katolikami i indyferentami. „Czy Polacy są katolikami?" — pyta p. Wasiutyński. Odpowiedź jest bardzo prosta: jedni są a inni nie są. Katolików jest w narodzie polskim mnóstwo. W kraju jest dziś o wiele więcej katolików, niż przed wojną; — jest bezsprzecznie przytłaczająca większość. Polska jest dziś z pewnością jednym z najbardziej, najprawdziwiej, najgłębiej katolickich krajów na świecie. Na emigracji, przynajmniej tu na tej wyspie, katolicy są niewątpliwie w mniejszości; ale jest to mniejszość zarówno dość liczna, jak wcale nie pozbawiona głębi, wyrobienia i zalet moralnych. Gdy mówimy o polskich katolikach i polskim katolicyźmie, powinniśmy mieć na myśli polskich katolików, a nie polskich indyferentów, — tak samo, jak mówiąc o katolikach francuskich mamy na myśli francuskich katolików, a nie tę tak liczną we Francji kategorię ludzi, choćby ochrzczonych, którzy już katolikami być przestali.

Niestety jednak, większością tu na emigracji, a odłamem trudnym do ocenienia na odległość, lecz z pewnością dość licznym też i w kraju, są ludzie, których katolikami nazwać nie sposób. Bo nie są katolikami ci, co przychodzą na Devonia Road na pasterkę, bo chcą usłyszeć kolędy, ale na Mszę św. co niedziela nie chodzą. Ani ci, co w święta narodowe siedzą uroczyście przed ołtarzem z nogą założoną na nogę i z dumnie podniesioną głową, patrząc się na nabożeństwo z taką miną,jak by to była urządzona na ich cześć akademia; to i Bierut także potrafi, choć przez to się jeszcze nie staje katolikiem: wszak ponoć w roku 1945 niósł nawet na Boże Ciało baldachim nad księdzem. Nie są także katolikami ci, co uważają za rzecz dopuszczalną rozwód, albo ślub cywilny, co popełniają lub tolerują zbrodnię spędzenia płodu, lub używają środków, zapobiegających

WIT TARNAWSKI

„Trzeci Człowiek“ w drugim wcieleniu

Film „Trzeci człowiek“, zbudowany na oryginalnym scenariuszu Grahama Greene‘a, idzie w kinoteatrach londyńskich już od wielu miesięcy a w noworocznej ankiecie został uznany zgodnie za najlepszy film sezonu. Film istotnie jest dobry, fascynujący treścią i niesamowitym nastrojem, o postawionym wyraźnie i ciekawie zagadnieniu moralnym.

Kiedy w grudniu 1949 poczęła ukazywać się w odcinkach „Daily Express‘u“ nowela Greene‘a „Trzeci człowiek“, osnuta na tym samym wątku co film, zainteresowałem się nią odrazu, nie tylko dlatego, że szło o utwór Greene‘a — najwybitniejszego dzisiaj powieściopisarza angielskiego — ale że zaciekawił mnie eksperyment, odwrotny niż zazwyczaj. Z reguły film czerpie swoją fabułę z istniejących już powieści — tu porządek się zmienił. Doświadczenie uczy, że film bywa zazwyczaj uboższy, mniej mówiący, niż powieść, z której zaczerpnął życie. Ciekawiło mnie co stanie się teraz. Byłem jednak pewny, że Greene — pisarz wyprzedzi autora filmowego scenariusza.

Powiem odrazu, że stało się odwrotnie. Film mimo pewnych łatwizn wydawał mi się lepszy, żywszy i wymowniejszy od noweli. Nowela Greene‘a — bo chyba nie można nazywać jej powieścią — jest, jak na tego świetnego pisarza, dziwnie oschła, bez werwy, i nie tylko nie bogatsza ideowo i psychologicznie ale uboższa od filmu. Tym razem zawiodłem się na Greenie.

A może tylko tą drogą ustalają się zarysy pewnej ogólnej zasady? Brak werwy tłumaczyłby się tym, że pisarz wyżył się uczuciowo przy tworzeniu pierwszej wersji tematu, zbyt udanej, by zachęcała do dalszych wysiłków. Odtwórczość, nawet przy zmianie materiału artystycznego, już nie podnieca. Mieliśmy tutaj doczynienia ze zjawiskiem analogicznym jak przy przetwarzaniu tęgich powieści na scenariusze filmowe — niosącym widzowi zazwpczaj uczucie podobnego zawodu. To raczej z przeciętnych powieści powstają bogatsze i ciekawsze wątki filmów.

Rzecz jednak nie kończy się na tym — na braku życia w noweli. Zabrakło w niej czegoś więcej: pewnych zasadniczych elementów, wprost niezbędnych do powstania normalnego problemu opowieści. Ponieważ we wszystkich utworach Greene‘a, nawet w jego sensacyjnych „entertainments“, zagadnienie moralne stanowi kręgosłup pomysłu— nie może to być opuszczenie błahe.

Każdy kto oglądał film „Trzeci człowiek“ zapamiętał dobrze, o co w nim chodzi. Młody autor powieści cowboyskich Martins przybywa do powojennego Wiednia, na zaproszenie serdecznego przyjaciela z lat szkolnych Harry‘ego Lime‘a, niestety, trafia już tylko na jego pogrzeb, bo Lime zginął w wypadku samochodowym.Sprawa tego wypadku nie jest jednak jasna i Martins, podejrzewając morderstwo, postanawia ją zbadać, tym bardziej, że od majora Calloway‘a z brytyjskiego Intelligence Service dowiedział się, iż Lime był jedną z najciekawszych figur czarnego rynku Wiednia — co Martins uważa za oszczerstwo i postanawia oczyścić pamięć przyjaciela. W poszukiwaniu świadków prawdy o zmarłym Martins spotyka dziewczynę Harrego, aktorkę Annę Schmidt, którą z miejsca pokochał — bez wzajemności, bo Anna nie może zapomnieć Harrego. Martins istotnie wykrywa prawdę o swoim przyjacielu, — inną jednak niż się spodziewał. Lime żyje, a do ziemi poszedł, pod nazwiskiem Lime‘a, zamordowany przez niego człowiek. Calloway wyjawia teraz Martinsowi całą ohydę przestępstwa Lime‘a: handel fałszowaną penicyliną, dzięki któremu ginęły niewinne dzieci — i żąda od Martinsa pomocy w przyłapaniu przyjaciela — przestępcy. Martins odmawia po dwakroć, choć spotkawszy Lime‘a zerwał z nim zupełnie i chce wyjechać z Wiednia. Wtedy Calloway pokazuje mu szpital dziecinny z nieszczęsnymi ofiarami szmuglu Lime‘a. Martins wstrząśnięty, zostaje w Wiedniu, godzi się zwabić byłego przyjaciela w policyjną zasadzkę i dobija go strzałem na poły karzącym a na poły litosnym, gdy osaczony i ranny Lime naprózno usiłuje wydostać się z obieży.

Nowela Greene‘a nie jest wiernym powtórzeniem filmu. Różnice w treści są może niezbyt liczne, lecz ważne. I właśnie różnicami chcę się tutaj przede wszystkim zająć, tym bardziej że dotyczą one ideowej zwłaszcza strony utworu, tak istotnej zawsze w twórczości Greene‘a.

Zmiany te nie wydają się przypadkowe. Mają one wyraźną linię i należałoby przypuszczać, że również określony cel. Myślę tu o wypruciu z noweli szeregu momentów zasadniczych dla moralnej decyzji Martinsa — aby w ręce policji wydał dotychczasowego przyjaciela — momentów, bez których decyzja ta niemal przestaje być moralna.

Greene usunął albo stuszował niemal wszystko, co w filmie skłania Martinsa do tego, iż staje on po stronie policyjnej sprawiedliwości przeciw byłemu przyjacielowi. Przejmującą scenę w szpitalu dziecinnym zastąpił autor czytaniem suchego protokułu policyjnego. Opuścił momenty wewnętrznego oporu i dwukrotnej odmowy Martinsa, który w filmie, dopiero po wizycie w szpitalu, decyduje się zostać w Wiedniu i działać razem z majorem Calloway‘em przeciw Lime‘owi.W noweli ów okres wewnętrznych wahań Martinsa jest ledwie zaznaczony, a decyzja na nie zaszczytną rolę przynęty, by zwabić w pułapkę przyjaciela młodości, który bądź co bądź zaufał Martinsowi i nie pozbył się niewygodnego gościa, jak mu doradzano, — decyzja ta jest rażąco i powiedziałbym niemoralnie łatwa. W filmie Martins jest szantażowany przez Calloway‘a bezpieczeństwem Anny — motyw uboczny w decyzji Martinsa, ale psychologicznie bardzo ważny i potrzebny. Tego również brak w nowej redakcji; w noweli można raczej podejrzewać, że Martinsem powoduje nie tyle oburzenie moralne czy lęk o Annę, ile poprostu uczucie zazdrości o nią — co jest motywem naturalnym ale zacierającym linię ideową utworu. Wreszcie strzał z łaski, którym Martins dobija Harrego, wydaje się w noweli poprostu okrutnym („and than I put a bullet through him“) — gdy w filmie moment ten został starannie przygotowany śmiercią poczciwego sierżanta i jakby zgodą czy prośbą w oczach konającego Lime‘a.Przy tym w filmie strzał to jedyny i z cudzej broni, gdy w noweli Martins poprostu poluje na Harrego, strzelając doń dwukrotnie.

Z tych wszystkich powodów ostatnia część noweli czyni wrażenie wręcz przykre. Zakończenie to ma być obrazem triumfu moralności, a jest po swojemu niemoralne — bo zdrada przyjaźni i zaufania, zwłaszcza dokonana z lekkim sercem, jest mimo wszystko zdradą ludzkich ideałów, którym w inny, oczywiście stokroć gorszy sposób, sprzeniewierzył się Lime. Zdradę taką może tylko okupić i wysublimować głęboki przełom wewnętrzny — który w filmie ukazany jest dobrze i szeroko, a w noweli zbyty i prawie zatarty. To też nowelę kończymy z uczuciem niechęci, nie tylko do przestępcy Lime‘a ale i do sprawiedliwego Martins‘a.

U wstępu wyraziłem już przypuszczenie, że Greene‘a nie nęciło nadto zadanie powtarzania w słowie zbyt głośnego już filmu. Można więc sobie tłumaczyć, że znudzony pisarz zmienił szczegóły noweli dla samego zmieniania, że niejednego po prostu nie dopatrzył, a pod koniec zniechęciwszy się na dobre, śpieszył do kresu i obcinał co się da.Jest nawet parę oznak takiego pośpiechu, porzucania zamierzonych wątków. Na początku Calloway (który w noweli jest osobą opowiadającą) zauważa, że Martins mówi o swoich uczuciach do Anny w czasie przeszłym, jak gdyby zapowiadając przyszły koniec tej miłości. Mimo to w ostatnim ustępie utworu widzimy raczej szczęśliwy jej początek. Poza tym Calloway nie wyjaśnia do końca sekretu „melodii Lime‘a“, co zrazu zapowiedział. Autorowi jakby już nie chciało się do tej sprawy wracać i zostawia rzecz domyślności czytelników.

Znudzenie, zniechęcenie się wątkiem — są to motywy nie rzadkie w procesie twórczym i zrozumiałe. Ale — jeśli tylko znudzenie i pośpiech — dlaczego Greene, pisarz pielęgnujący przede wszystkim ideowo-moralną stronę swoich utworów, obciął jakby z premedytacją właśnie to, co wyjaśnia i przekazuje czytelnikowi sens moralny opowieści? Czyżby ten niezawodny majster nie przewidział, że przez dyskusję i stuszowanie momentów moralnych decyzji Martinsa — ściszy do tego stopnia głos swojej myśli, iż czytelnik gotów jest jej wogóle nie dosłyszeć; sama zaś decyzja bohatera, która powinna być dojrzała (jeśli sens opowieści ma być istotnie moralny) staje się niepoważna i niemal nieludzka jak decyzja dziecka, które dało się powodować najpierw przyjacielowi Harremu, a później policjantowi Callowayowi. Za taką koncepcją pisarza przemawiałaby zresztą charakterystyka Martinsa jako chłopca, który nigdy nie dorósł, podana na początku noweli przez Callowaya.

Niewątpliwie, w wersji powieściowej Martins nie dorasta do dramatu, który stanął przed nim i może na tym przede wszystkim polega dramat. Zapewne: postąpił jak był powinien — ale co przeżył wewnętrznie pod powłoką nienagannego czynu, to inna sprawa. Zresztą nie tylko poprzez postać samego Martinsa przeziera w noweli małość ludzi, małość uczuć. Nawet Anna, na filmie wzór wierności poza grobową deskę, nie wytrzymuje w swej poprzedniej roli; w noweli odchodzi wprost z pogrzebu Lime‘a pod rękę z zabójcą ukochanego człowieka, rzekłbyś gotowa na nowy romans.

Zdawałoby się, że pisarza ogarnęła przekorna ochota pokazania, iż nawet we wzorowych z pozoru rozwiązaniach moralnych ludzie nie dorastają do tych rozwiązań — jak w dramacie kukiełkowym, w którym treść dramatu pozostaje wprawdzie niezmieniona, ale kukły zastępują żywych aktorów. Podobnie — i jakby symbolicznie — Martins, autor przeciętnych powieści awanturniczych, uchodzi w noweli za znakomitego pisarza. I chyba do tego niedorośnięcia ludzi, do tej ich mizerności wewnętrznej odnosi się westchnienie autora zamykające powieść: „Biedny Crabbin! Wszyscyśmy biedni, jeśli się tylko o tym pomyśli“.

Trudno nie wyczuć tym razem u Greene‘a jakiegoś elementu przekory w stosunku do filmu, może nawet do dotychczasowego siebie — przekory utrącającej z satysfakcją to, co dla pierwotnej myśli utworu było najbardziej ważne i wymowne.

Mogła oczywiście Greene‘a — artystę ogarnąć niechęć do zbyt eksploatowanych już momentów filmu, niechęć do taniego nieco i banalnego morału; mógł go odrzucić łatwy sentymentalizm takich argumentów moralnych, jak choćby pokaz dziecinnego szpitala.

Mimowoli bierze również ochota, by porównać „Trzeciego człowieka“ z ostatnim i najwyższym osiągnięciem Greene‘a, powieścią „The heart of the matter“, i szukać związków pomiędzy postawą pisarza w obu tych utworach. W „Sednie rzeczy“ pisarz pokazał człowieka, który przerasta swoje moralne zadanie, aż do zaprzepaszczenia się — którego uratowałaby właśnie przeciętność moralna. W „Trzecim człowieku“ problem moralny — zwycięstwo sprawiedliwości nad przyjaźnią — rozwija się bezbłędnie i pokazowo jak w przypowieści dydaktycznej, natomiast ludzie, którzy biorą w niej udział, nie dorastają do swych wzniosłych ról. Wydaje się jak gdyby Greene‘owi dojadła, na czas jakiś przynajmniej, wzniosłość moralna własnych bohaterów — i w tym można szukać źródeł jego przekornej tezy.

Takie oto domysły snuję na marginesie utworu Greene‘a, który mógłby się wydać całkiem prosty, gdyby go nie poprzedzał film. Dopiero bowiem różnice między filmem a nowelą zdradzają rodzenie się odmiennej koncepcji tematu w myśli autora. Nie ta odmienność zresztą stanowi wadę noweli. Przeciwnie: nowa interpretacja wydaje się zarówno oryginalniejszą jak życiowo bardziej prawdopodobną od pierwszej, znanej z filmu. Błąd tkwi w niezdecydowaniu; pisarz zawisł pomiędzy pierwotną interpretacją roli swego bohatera a nową — i obie pozbawił przez to życia. Pozbawił do tego stopnia, że nie jestem pewny, czy ów nowy sens utworu wogóle istnieje, choć czuję, że dawny został zachwiany.

I dlatego nie przestaję się wahać między dwoma ujęciami tej nieudanej trawestacji dobrego filmu: potknięcie się wielkiego artysty wywołane znudzeniem, które wystarczy stwierdzić, czy intencja, nie ukazana dość jasno, którą należałoby wykryć.

Wit Tarnawski

indyferentyźmie

ciąży, co należą do zabronionych przez Kościół organizacji, albo co się przed wojną pojedynkowali i dotąd grzechu swego nie zmyli. To, że czasem zaglądają do kościoła, że śpiewają „Boże coś Polskę“ i łamią się na wigilię opłatkiem, to jeszcze z nich katolików nie czyni; to są typowi indyferenci: — czasem jawni odstępcy od wiary, w najlepszym razie ludzie o wierze obumarłej.

A rozejrzyjmy się wśród naszych znajomych! Ile jest konkubinatów. Ile jest rozwiedzionych małżeństw! Ponoć liczba zerwanych małżeństw wśród Polaków na tej wyspie sięga kilku tysięcy. Porównajmy to z ogólną liczbą polskiej ludności w Wielkiej Brytanii — a stwierdzimy, że jesteśmy społeczeństwem o najwyższym chyba w świecie odsetku rozwodów. (Od kilku lat pisuję o tych sprawach od czasu do czasu — ale czy się kto tym przejmuje? Czy to kto wogóle czyta? — Często nawet nie ma tego gdzie wydrukować).

Przed wojną tacy nie byliśmy. Podobno bywały wówczas w Polsce pewne koła tak samo indyferentne i tak samo rozłożone moralnie — ja ich zresztą bliżej nie znałem, — ale ogół był zdrowy. Tymczasem tutaj to właśnie ogół jest indyferentny religijnie i rozłożony moralnie, a tylko pewne koła są zdrowe. Skąd się to wzięło?

P. Wasiutyński pisze, że stosunek dużej części Polaków do katolicyzmu jest podobny do stosunku dużej części Anglików do kościoła anglikańskiego. Wydaje mi się, że tu jest właśnie sedno rzeczy. Indyferentyzm polski, mający wprawdzie także i poważne źródła rodzime, sięgające odrodzenia stanisławowskiego, jakobinizmu kościuszkowskiego i ruchów rewolucyjnych dziewiętnastego stulecia, nie mówiąc już o nowszym pozytywiźmie warszawskim, o socjaliźmie, o przedwojennej „elicie“ itd., zasilił się w sposób potężny zetknięciem się ze społeczeństwem angielskim. Emigracja polska przybyła w roku 1940 do Anglii z kompleksem podziwu i uwielbienia dla wszystkiego, co angielskie. Nie zauważyła ona jakoś tej angielskiej mniejszości, jaką jest angielski katolicyzm. Uległa wpływowi tego, co Anglii nadaje ton: indyferentyzmowi i agnostycyzmowi, wywodzącemu się z protestantyzmu, a zwłaszcza z jego formy anglikańskiej. Czasy się od 1940 roku zmieniły; — zmienił się skład osobowy emigracji i zmieniły się także nastroje, wpadając w odwrotny i często odwrotnie nieuzasadniony kraniec niechęci do wszystkiego, co angielskie. Ale ogólny ton pojęć i styl życia, skrystalizowany w latach wojennych, trwa po dziś dzień i udziela się i nowym przybyszom. Jedną z jego głównych cech jest indyferentyzm religijny w stylu anglikańskim i rozluźnienie rygorów moralnych, znacznie wszelkie wzory anglosaskie przewyższające. To ostatnie ma być może jedną z przyczyn w tym, że podwójna selekcja in minus, dokonana przez odsiew zaleszczycki i francuski, sprawiła, że do Anglii dotarł stosunkowo duży odsetek żywiołów mniej wartościowych, reprezentujących ten rodzaj przedwojennej „elity“, która żyła „życiem ułatwionym“, a bywała w kościele tylko na galówkach.

Jest jeszcze i inny moment. Dmowski napisał w swej broszurze o „kościele, narodzie i państwie“, że odłam masonerii, działający w społeczeństwach protestanckich, z Anglią na czele, „nie poszedł na walkę z kościołami i sektami protestanckimi, ale działa wewnątrz nich... z takim skutkiem, że dziś społeczeństwa protestanckie znakomicie górują swą bezreligijnością nad katolickimi. Górują w dwuch kierunkach: liczbą ludzi, nie uznających potrzeby religii wogóle, i samym charakterem wyznań protestanckich, która tracą szybko resztki ducha religijnego i stają się bezduszną formą. Fakty również świadczą, że loże tego związku działające w krajach katolickich usiłują często stosować względem religii te same metody postępowania, co w protestanckich“. Cytowałem te słowa w broszurze, wydanej rok temu. „Strzeżmy się religijnego indyferentyzmu!“ — napisałem wówczas. — „Strzeżmy się może więcej, niż jawnych ataków na Kościół i religię“.

Co tu dużo mówić! Indyferentyzm zapuścił w narodzie polskim — zwłaszcza, ale nie wyłącznie, wśród inteligencji, zwłaszcza, ale nie wyłącznie, na emigracji — tak głębokie korzenie, że społeczeństwo polskie stało się już, doprawdy, terenem misyjnym. Jest zadaniem polskich katolików ten teren misyjny zdobyć i szerokie rzesze polskich neo-pogan nawrócić.

Jędrzej Giertych

KOLUMNA FILMOWA

WIECZNE MIASTO NA EKRANIE

Po malarstwie i muzyce także film podjął ostatnio szereg prób uchwycenia ducha Rzymu. Tacy malarze jak Piranesi, Pinelli i Corot, a w naszych czasach Scipione, Mafai i Tamburi przyczynili się bardzo do tego, że Rzym ma dla nas nie tylko znaczenie historyczne symbolu, ale także swoje własne, niepowtarzalne oblicze. W ich ślady poszli muzycy. Respighi, Refice i Carabella utrwalili w wielu utworach głęboki urok tego miasta.

Pierwszym filmem, który ujawnił, że Rzym jest fotogeniczny, była „Ulica pięciu księżyców" (Via delle cinque Lune), nakręcony w r. 1942. Krytyka nie była jednak zadowolona uważając, że film nie oddał Wiecznemu Miastu sprawiedliwości, a sam autor przyznał, że nie miał tak wielkich ambicji; Rzym potraktował tylko jako tło akcji filmu i nawet nie robił zdjęć w samym mieście, ale zbudował w atelier dekoracje, które z szeregu „elementów charakterystycznych" tworzyły „syntezę".

Na ulicach i placach Rzymu toczyła się akcja trzech filmów reżysera Bonnard, „Avanti c'è posto" (1942), „L'ultima Carrozzella" i „Campo dei Fiori" (oba z r. 1943). W filmach tych pojawili się po raz pierwszy aktorzy, którzy mieli później roznieść sławę filmu włoskiego na cały świat, Anna Magnani i Aldo Fabrizi. Ale i te filmy nie traktowały jeszcze Rzymu jako tematu. Natomiast powstał w tym czasie szereg filmów dokumentarnych, całkowicie poświęconych Rzymowi jak np. „Castel Sant' Angelo" (reż. Paolello), „Colosseo" i „Via Margutta" (reż. Saitto), „Tre Rioni" (Magnaghi), „Il Barocco a Roma" oraz „Pini" i „Fontane di Roma" (reż. Costa); ostatnie dwa filmy są ilustracjami poematów symfonicznych Respighiego), a wreszcie „Caccia alle volpe", kolorowa krótkometrażówka Blasettiego o rzymskiej Campagni, która zrobiła duże wrażenie.

Po wojnie nastąpił niespodziewany rozkwit filmu włoskiego. W r. 1945 Roberto Rossellini nakręcił „Roma, città aperta", film zaczynający się od zdjęć piazza di Spagna a zamykający się panoramą Rzymu zdjętą z fortu Boccea. Od tego filmu mówi się o „realistycznej" szkole rzymskiej w kinematografii. Być może, szkołę tę i jej charakterystyczny styl zawdzięczamy faktowi, że wojna zniszczyła wspaniałe studia filmowe okresu faszystowskiego i zmusiła reżyserów, by położyli większy nacisk na plenery. Rossellini z takim talentem przystosował się do tych nowych warunków pracy, że wszyscy inni reżyserzy zaczęli go naśladować. Najzupełniej niespodziewanym skutkiem tego obrócenia konieczności w zaletę było, że Hollywood odkryło fotogeniczność Nowego Yorku i w Ameryce kręci się coraz więcej filmów w stylu rzymskiego „realizmu".

W drugim filmie Rosselliniego „Paisà" (1946) Rzym pojawił się tylko w jednym epizodzie i w kilku fragmentach ze starych tygodników aktualności. W tymże roku reżyser de Sica stworzył film pt. „Sciuscià", którego akcja toczy się w całości w Rzymie i którego bohaterami są rzymscy ulicznicy pierwszych miesięcy po „wyzwoleniu". Zobaczyliśmy tam m. in. ulice śródmieścia (Via Veneto, dzielnicę wytwornych hoteli zajętych przez wojsko amerykańskie) i dom poprawy dla nieletnich, Istituto San Michele a Ripa Grande. Również w r. 1946 Castellani nakręcił film pt. „Mio figlio professore", którego akcja toczy się przeważnie w starym pałacu Collegio Romano.

Krótki metraż rozpoczął w tym czasie bardziej szczegółowe „portretowanie" Rzymu. W latach 1947-49 pojawiła się seria filmów krótkometrażowych poświęconych różnym motywom rzymskim, jak np. drodze appijskiej („Ombre sull' Appia", reż. Capriata), murom rzymskim („Le mura di Roma" Benedettiego), klasztorom i dziedzińcom pałacowpm („Chiostri e Cortili di Roma" Magnaghiego), kolumnie Trajana (reż. Emmer), grobowcom Papieży i Kaplicy Sykstyńskiej (oba Marcelliniego), obeliskom Rzymu (Guazzoni), placowi Navona (Pasinetti), rzeźbom z Muzeum Watykańskiego przedstawiającym zwierzęta („Zoo di Pietra" Belliniego) etc.

Równocześnie Rzym posłużył za tło filmów historycznych, zresztą wcale nie rozgrywających się w Rzymie. W filmie Fredy, „Przygody Casanovy" place rzymskie zastąpiły dekoracje siedemnastowiecznego... Wiednia, a w „Pustelni Parmeńskiej" Christiana Jacque fragmenty św. Piotra w Okowach reprezentowały architekturę Parmy sprzed półtora wieku.

Rzym współczesny stał się na prawdę wielkim tematem filmowym dopiero w r. 1948. „Sotto il sole di Roma" (reż. Castellani) i „Złodzieje rowerów" (de Sica) pokazały Rzym dnia powszedniego, Rzym intymny. Wielkie pomniki architektury rzymskiej nie odgrywają w nich większej roli, niż w życiu przeciętnego współczesnego Rzymianina; natomiast pojawiają się tu hale sportowe, dancingi i bary, dotąd przez film nie zauważone. W „Złodzieju rowerów" spotykamy ulice i place Rzymu mniej sławne, ale dla charakteru Miasta nie mniej ważne, jak np. via della Campanella, piazza dei Mercati, Porta Pia, most Palatyński, stadion Mussoliniego, via Nomentana, via del Tritone etc.

Krytycy rzymscy spodziewają się, że Wieczne Miasto, które okazało się fotogeniczne pod tylu względami, będzie coraz bardziej pociągało wyobraźnię reżyserów filmowych.

(r.m.)

NOWE FILMY

„The Window" (Okno)

Produkcja: R.K.O. Radio Picture.
Reżyser: Dore Scnary.

Film dobry, godny widzenia. W pewnym sensie „Thriller", czyli — stwórzmy nareszcie neologizm polski: „dreszczowiec". Ale z przyjemnym ludzkim wydźwiękiem.

Rzecz dzieje się w ubogiej dzielnicy Nowego Yorku, w na pół zrujnowanym, wysokim domu, którego piętra łączą drabiny przeciwpożarowe. Każdy do każdego może zaglądać (dom jest częściowo zamieszkany przez ubogą ludność). Mały Tommy Woodry (Bobby Driscoll, chłopak może ośmioletni, przemiły i doskonały aktor) ma nieprzyjemny zwyczaj wymyślania i opowiadania na prawo i lewo niestworzonych historii. Przeczulica wyobraźni, czyli tak częsta u dzieci **pseudomania fantastica.** Ale trzeba trafu, że pewnej upalnej nocy mikrus wynosi się wraz z poduszką ze swego pokoju, aby przespać się na balkonie o piętro wyżej. Przez lukę między niedomkniętą storą a ramą okna widzi ze zgrozą, że sąsiedzi, pp. Kellerson, mordują i obrabowują jakiegoś człowieka. Rezolutny Tomek natychmiast zawiadamia o tym rodziców, ale — rzecz jasna — nie znajduje u nich wiary. Zrozpaczony udaje się do komisariatu policji, ale i tu mu nie wierzą. Przeciwnie, rodzice zmuszają biednego chłopca do przeproszenia „poczciwych", „niesłusznie posądzonych" Kellersonów. Ale ci coś zwęszyli. Korzystając z wyjazdu rodziców Tomka, postanawiają go porwać i usunąć, jako niewygodnego świadka zbrodni. Rozpoczyna się pełen napięcia pościg po zrujnowanym domu. Tomek wykazuje wielką dzielność i inteligencję, choć boi się bardzo. Ostatecznie Kellerson wali się ze złamaną belką na bruk ulicy i ginie, lub odnosi ciężkie rany, a małego ratuje wezwana przez rodziców policja. Moment jego skoku na strażackie, ratownicze prześcieradło jest zagrany wspaniale i naprawdę budzi dreszcz zgrozy, a potem westchnienie ulgi. Wszystko się wyjaśnia, rodzice obiecują na przyszłość wierzyć małemu detektywowi. Gra fenomenalnego chłopca po prostu wspaniała, zdjęcia świetne, akcja zwarta. Realistyczne pokazanie nędzy nowojorskiej i fatalnych warunków mieszkaniowych — to rzadkie i cenne zjawisko w filmie amerykańskim. Gra artystów poprawna, choć wszystkich przytłacza wysokiej klasy kreacja małego Driscolla, artysty z Bożej łaski.

„Louisiana Story"

Produkcja: London Film Co.
Reżyser: Robert Flaherty.

W zatoce meksykańskiej, nad brzegami Mississipi, rozpościera się wielki stan Luizjana, bogaty w puszcze dziewicze, zwierza wszelkiego rodzaju i naftę. Dzielny majster filmowy, Robert Flaherty, który już pokazał co umie, filmując Eskimosów i pierwotnych mieszkańców Wysp Hebrydzkich, wpadł na szczęśliwy pomysł skontrastowania nowoczesnej techniki wiertniczo - nafciarskiej z dziewiczą przyrodą tego kraju. Zamiar się udał. Powstał film wysokiej klasy, nagrodzony na konkursie międzynarodowym. Jest to dzieło bardzo proste w konstrukcji, bez kobiet i intrygi miłosnej, a jednak niezmiernie interesujące i bogate. Film ten wykonano w plenerze (rzecz tak rzadka w dzisiejszych warunkach produkcyjnych, gdy nawet filmy londyńskie, chcąc nakręcić np. Trafalgar Square, wolą wykonać makietę, byle nie pracować na miejscu, co wypada drożej). Wzbogaca on naprawdę nasz obraz świata. Mało kto może pojechać do Luizjany, a jeśli nawet to uczyni, to tyle ciekawych rzeczy nie zobaczy choćby i przez kilka lat. Bo mamy tam i przemiłego (tym razem chyba 12-letniego) chłopca, Francuza, Baudreux, który całymi dniami w swym małym czółenku snuje się po wielkiej, wspaniałej rzece z oswojonym, zabawnym lemurem — łowiąc ryby, podglądając jak trawa rośnie (a trawa to piękna, pełna kwiatów przedziwnych), a nawet polując na krokodyle. Mamy ekipę techników wiercących szyb naftowy wprost w łonie rzeki przy pomocy olbrzymich machin. Mamy straszliwy wybuch gazów ziemnych i gorących wód mineralnych. Urok bogatej przyrody umiejętnie skontrastował Flaherty z precyzją i swoistym pięknem nowoczesnych urządzeń technicznych, które, wykonawszy swą pracę, odjeżdżają spokojnie, zwracając krajobrazowi jego spokój i ciszę, zostawiwszy tylko na środku Mississipi wielki kran, z którego można czerpać ropę. Mały Baudreux się cieszy (a trochę i my, widze, miłośnicy pięknych, dzikich zakątków ziemi); pozostaje na miejscu ze swym ruchliwym i fotogenicznym przyjacielem-lemurem i z nową strzelbą, otrzymaną od ojca, wzbogaconego czynszem dzierżawnym, otrzymanym od przedsiębiorców naftowych. Czy tak się dzieje istotnie, w prawdziwej Luizjanie, gdzie ludzie walczą o naftę — to inna sprawa. Ale taki obraz pokazał nam swymi doskonałymi, inteligentnymi zdjęciami pan Flaherty, który pewnie jest trochę purytaninem i przypuszczalnie wyznaje zasadę: „everybody happy".

(s. p.)

KRÓTKIE WIADOMOŚCI

Europejski deficyt dolarowy zmusza amerykański przemysł filmowy do robienia filmów w Europie. Wytwórnia Metro-Goldwyn-Meier wydała już milion dolarów na nową wersję „Quo Vadis", a zdjęcia mają zacząć się we Włoszech dopiero w kwietniu. Wytwórnia 20th Century-Fox nakręci w Anglii trzy filmy („The Mud Lark", „21 Bow Street" i „No Highway"), jeden w Skandynawii („The Foreign Scene") i jeden w Afryce („The Snows of Kilimandjaro"). Warner będzie kręcił w Anglii „Captain Horatio Hornblower", a M-G-M ma już gotowy skrypt przeróbki powieści Walter Scotta „Ivanhoe", którą chce zrealizować w Wielkiej Brytanii. Film „I'll get you for that" Kauffmana będzie wykonany w Anglii i we Włoszech. Natomiast nie będzie się nakręcało filmów amerykańskich we Francji, gdyż prawo francuskie wymaga, by obok wersji obcej wykonana była także wersja francuska.

*

Niemcy Zachodnie odmówiły licencji przywozowych niezależnym producentom amerykańskim żądając dopuszczenia wzamian za każdy film amerykański jednego niemieckiego na rynek amerykański. Zarządzenie to ma być zaczepione jako pogwałcenie prawa okupacyjnego zabraniającego Niemcom wprowadzania kwot importowych.

*

Francuski Związek Krytyków Filmowych stworzył nowy typ programu nazywając go „Cinéma d'Essai". Program taki składa się z czterech krótkometrażówek (w tym jednej amatorskiej), dłuższego filmu dokumentarnego i filmu pełnoprogramowego. Eksperymentu tego podjęło się kino paryskie „Reflets". Pierwszy program obejmował krótkometrażówkę o pierwszych filmach francuskich i o wynalazcy filmu, Ludwiku Lumiere, następnie krótkometrażówka pt. „Małe tajemnice Paryża", film polski o ptakach, klasyczny film Roberta Flaherty, „Nauka Północy" oraz film pt. „Ciemna Przeszłość". W drugim z rzędu programie wyświetlono „Le Crime des Justes" Jana Gehret. Programy zmieniać się będą co tydzień.

*

W wydawnictwie Vision Press ukazał się ogromny tom (755 str.) na temat dziejów filmu pt. „The Film Till Now" (42s). Autorem książki jest Paul Rotha. Jest to zupełnie nowe, poprawione i zaktualizowane wydanie dzieła pod tym samym tytułem, które pierwotnie doprowadzone było do narodzin filmu dźwiękowego i od dłuższego czasu było wyczerpane. Przez dodanie części zatytułowanej „The Film Since Then" pióra R. Griffitha, objętość książki niemal się podwoiła. Chociaż Griffith jest Amerykaninem, oddaje on sprawiedliwość produkcji europejskiej i nie zapomina nawet o filmie indyjskim i argentyńskim. Prasa angielska widzi w tej książce nie tylko dobry podręcznik, ale i interesującą lekturę.

Film umożliwia nową formę reprodukcji dzieł sztuki. Kamera filmowa może „analizować" obraz i posuwać się jakby okiem znawcy po jego powierzchni wybierając i zestawiając fragmenty według różnych założeń, zatrzymując się dłużej nad jednymi, szybciej „wertując" inne, tworząc zespoły fragmentów, które niewyszkolonemu widzowi same by się nie narzuciły.

Metodę tę zastosowano w filmie o obrazie Carpaccia przedstawiającym legendę św. Urszuli. To dzieło jednego z wielkich mistrzów wczesnego Renesansu włoskiego potraktowano jako zbiór ilustracji opowiadania. Speaker opowiada legendę Świętej, a na ekranie pojawiają się odpowiednie fragmenty obrazu, co robi wrażenie pantominy. Tym samym sposobem powstał film (tegoż reżysera nazwiskiem Emmer) pt. „Życie Chrystusa", oparte na freskach Giotta w Padwie.

Oczywiście, fabuła — choć w tych wypadkach narzucała się sama — nie jest jedyną możliwą zasadą takich „analiz" dzieł sztuki. Przy zastosowaniu tej metody do e s t e t y c z n e j analizy obrazów film mógłby odegrać wielką rolę wychowawczą kształcąc publiczność artystyczną.

*

W Anglii powstała nowa niezależna wytwórnia filmowa, która zamierza wyprodukować kilka filmów opartych na powieściach Chestertona. Do organizatorów tej wytwórni należy b. zastępca redaktora chestertonowskiego tygodnika „G. K's Weekly", E. J. MacDonald.

KRONIKA LITERACKA

KSIĄŻKI i CZASOPISMA

Wydana w Nowym Yorku jesienią ub.r. książka X. F. J. Sheen'a pt. „Spokój duszy" (Peace of Soul) rozeszła się w pierwszych kilku miesiącach w 150 tysiącach egzemplarzy, co czyni ją jednym z najpopularniejszych dzieł literatury neo-scholastycznej.

*

W Anglii przedrukowuje się obecnie na nowo powieści F. Scott Fitzgeralda, który zmarł w r. 1940, a swoje arcydzieło, „Wielki Gatsby" (The Great Gatsby) napisał w roku 1925. Bohaterem tej powieści jest gangster Gatsby, który — wplątany przez odnowiony romans w perypetie i intrygi miłosne amerykańskiej plutokracji — wyrasta na tle deprawacji tego towarzystwa na reprezentanta solidniejszych i trwalszych wartości. Odkrycie Fitzgeralda przypomina doświadczenia Dostojewskiego w czasie zesłania na Sybirze. Krytyka angielska nie uważa Fitzgeralda za wielkiego pisarza, ale za pioniera angielskiej tradycji literackiej, do której pisarze amerykańscy będą musieli nawiązać, gdy po orgii naturalizmu przyjdzie czas na odrodzenie idealizmu. Tytuły innych jego powieści brzmią: „The Crack-up", „This Side of Paradise", „Tender is the Night", „The Last Tycoon".

*

W tych dniach ukaże się nowa książka autora „Ostatniego pociągu z Berlina", Howarda K. Smith'a pt. „Stan obecny Europy" (The State of Europe, Cresset Press) poświęcona opisowi i ocenie zmian, jakie zaszły w Europie w pierwszych czterech latach powojennych. Autor, Amerykanin, dochodzi do wniosku, że cywilizacja europejska weszła w okres wielkiej przemiany przypominającej kryzys, który zniszczył feudalizm i przygotował umysłowość europejską na przyjście Odrodzenia. Smith rozważa skutki polityczne i gospodarcze tej przemiany i podaje szczegółowej ocenie szanse Ameryki jako spadkobiercy angielskiej polityki równoważenia sił na kontynencie europejskim.

*

Po utracie posady w o-en-zetowskim UNESCO, p. Antoni Słonimski przeniósł się jako szef propagandy reżymowej spowrotem do Londynu. Miał, powiada, odwagę skonstatować, że jeszcze jedno z jego dawnych złudzeń zostało przez życie obalone. Z Ameryką nie może być współpracy kulturalnej. W Anglii natomiast niewątpliwie jeszcze trwa dalej pewna ciągłość kultury europejskiej. Racjonalizm i empiryzm angielski wyrażają się obecnie w postaci ekologii (tj. nauki o wpływie środowiska naturalnego na organizm). „Jest prawem ekologii — pisze p. Antoni — iż gatunki, które nie przystosują się do nowych warunków życia, giną". P. Antoni, posuwając się po swojej „trasie Z-W" tj. z Zachodu na Wschód (nb. z formułki tej wynikałoby, że kraj posuwa się po trasie W-Z; tu p. Antoniego prześcignął jego własny dowcip!), nie przestaje poszukiwać sposobu „ekologicznego" przystosowania się. Wielu przyrodników i racjonalistów angielskich, powiada, podsuwa mu myśl, że światowe zwycięstwo komunizmu jest procesem postępu i ewolucji, bo unifikacja świata przez imperializm amerykański nie rozwiązuje zagadnienia, a proces walk klasowych trwa dalej i dalej trwają ruchy wyzwoleńcze ludów kolorowych.

Słowem, „walka o pokój i socjalizm nabiera sensu tylko jeśli się stanie mocno p o t e j stronie barykady". I z gestem Rathenaua, który u progu gabinetu Wilhelma II zatrzymał się w ukłonie, by uprzedzić swego monarchę że jest Żydem („Ich bin a Jud, Majestaet!"), p. Antoni dodaje: „Niech mi wolno będzie powiedzieć: po naszej stronie barykady". Skromność p. Antoniego jest, jak zawsze, wzruszająca. Tylko, czy i tym razem nie dał się prześcignąć swemu dowcipowi?

*

Dwa pierwsze zeszyty czterdziestego piątego rocznika Przeglądu Filozoficznego (wydawanego w Warszawie i Krakowie przez prof. W. Tatarkiewicza) ukazały się jako zbiorowa praca o estetyce. Zawiera ona artykuły Mieczysława Choynowskiego („Elementy teorii zjawisk artystycznych"), prof. Władysława Witwickiego („List o estetyce", napisany w r. 1947), prof. Teodora Pawłowa, uczonego bułgarskiego („Zagadnienie estetyki naukowej"), prof. H. D. Aikena („Estetyka i filozofia sztuki w Stanach Zjednoczonych"), prof. Romana Ingardena („Ze studiów nad zagadnieniem formy i treści dzieła sztuki"), prof. Władysława Tatarkiewicza („Dwa pojęcia formy"), prof. Stefanii Skwarczyńskiej („Zagadnienie dramatu"), prof. Stefana Szumana („Pojęcie dawki estetycznej" czyli „O strukturze utworów poetyckich i filmowych"), prof. Mieczysława Wallisa („Odkrycie filmu"), Jana Gralewskiego („Sztuka prymitywna"), Krystyny Zwolińskiej („O prawdzie artystycznej"), Jana Popiela („Przedmiot estetyczny w przeżyciu krajobrazu"), prof. Stefana Morawskiego („Teoria estetyczna Edmunda Burke"). Zeszyt zamyka wspomnienie o prof. Witwickim.

*

Niebawem ukaże się historia tajemniczego oddziału wojskowego, zwanego „Popski's Private Army", który działał na tyłach niemieckich w Afryce a następnie we Włoszech i który w opinii anglosaskiej nieraz mylono z wojskiem polskim. Organizatorem tego oddziału, złożonego zresztą z żołnierzy angielskich, był ppłk. Włodzimierz Peniakow. Mimo otaczającego ją nimbu romantycznego, Peniakow uważa swoją „armię" za przedsięwzięcie raczej sportowe: ambicją jego i jego ludzi było wykonanie każdego zadania w sposób jaknajłatwiejszy i bez większego ryzyka. Książka ukaże się w wydawnictwie Jonathana Cape pt. „The Oryx and the Astrolabe".

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

WATYKAN

OJCIEC ŚWIĘTY OSTRZEGA DZIENNIKARZY

W przemówieniu do 15 amerykańskich dziennikarzy Ojciec Święty podkreślił znaczenie prasy jako czynnika wpływu na masy, oraz stwierdził, że częstym grzechem dziennikarzy jest kłamstwo. Ojciec Święty ostrzegł uczestników zawodu dziennikarskiego, że ich pełnym odpowiedzialności obowiązkiem jest głoszenie prawdy.

MSZA ŚW. PRZEZ TELEWIZJĘ

Radio watykańskie nadaje co niedziela Mszę św. przez telewizję. Arcybiskup Paryża, ks. Feltin, ogłosił w związku z tym, że śledzenie Mszy św. na ekranie telewizji nie czyni zadość obowiązkowi obecności na Mszy św. Jest ono tylko dodatkowym aktem pobożności, wskazanym dla tych, którzy na Mszy św. z usprawiedliwionych powodów być nie mogą.

MSZA ŚW. W POCIĄGU

Stolica Święta zezwoliła księżom, uczestniczącym w pielgrzymkach do Rzymu, na odprawianie Mszy św. w pociągu, pod warunkiem, że pociąg stoi conajmniej 45 minut i że zachowane będą warunki stosowane dla godności świętej ofiary.

WŁOSKA ENCYKLOPEDIA KATOLICKA

Ukazał się w Rzymie pierwszy tom włoskiej „Enciclopedia Cattolica". Następne 10 tomów ukazywać się będą w regularnych odstępach czasu.

Wydawnictwo uczyni zadość dawno odczuwanej potrzebie.

PALESTYNA

NOWY PATRIARCHA JEROZOLIMY

Ojciec Święty mianował O. Gori, O.F.M., Patriarchą łacińskim Jerozolimy.

Patriarchat ten wakował już od dość dawna, od zgonu ś.p. Patriarchy Barlassina. Nowy Patriarcha nie jest osobą nową w Ziemi świętej: sprawuje on tam od lat urząd „Kustosza Ziemi świętej", który to urząd jeszcze od wieków średnich, jest w rękach Zakonu Franciszkańskiego.

Polskie placówki w Jerozolimie znajdą niewątpliwie w osobie nowego Patriarchy orędownika i opiekuna.

ANGLIA

ANGLIKAŃSKIE PRETENSJE

Anglikanie uważają, że kościół anglikański jest prawowitym spadkobiercą kościoła chrześcijańskiego, istniejącego w Anglii od półtora tysiąca lat i wsławionego szeregiem świętych oraz zbudowaniem mnóstwa przepięknych katedr i kościołów. Twierdzą oni, że katolicyzm jest w Anglii religią nową i obcą, zaszczepioną tu w ostatnim stuleciu przez „włoską misję". Charakterystyczny list od anglikańskiego czytelnika ukazał się na ten temat w londyńskim „Catholic Herald".

Czytelnik ten pisze, że katolicka hierarchia w Anglii „to nie jest dawna Ecclesia Anglicana, stworzona przez papieża świętego Grzegorza Wielkiego za pośrednictwem misji św. Augustyna. To jest całkiem nowy kościół, założony w roku 1850 przez papieża Piusa IX. To jest fakt poza wszelką dyskusją. Nie ma żadnej ciągłości między kościołem papieża Piusa w tym kraju, a kościołem papieża Grzegorza, chociaż jest ciągłość doktrynalna i nawet trochę ciągłości, gdy chodzi o skład osobowy wiernych."

Dziwne te anglikańskie pretensje odpiera „Catholic Herald" obszerną notatką od redakcji, stwierdzającą, że anglikańska hierarchia zachowała terytorialne tytuły dawnego kościoła katolickiego w Anglii, ale nic poza tym. Biskupi anglikańscy nie mają ważnych święceń, oraz żyją w schyzmie i herezji. Kościół katolicki jest jeden i nigdy ciągłości swego istnienia nie utracił. Biskupi wyświęceni przez papieża Grzegorza i przez papieża Piusa są biskupami tego samego, katolickiego kościoła. Tyle tylko, że kościół ten przez parę stuleci nie miał swych biskupów w Anglii. (j. g.)

GOŚĆ Z UGANDY

Brytyjska kolonia Uganda jest, obok Konga Belgijskiego i niektórych posiadłości portugalskich, najbardziej katolickim z krajów czarnej Afryki.

Studenci kursu nauczycielskiego na Uniwersytecie Londyńskim mają sposobność zetknąć się obecnie osobiście z przedstawicielem Kościoła katolickiego Ugandy. Jest nim ks. Klemens Nukasa, tubylec ugandyjski, który przybył do Londynu uzupełnić swe studia. Wykładał on poprzednio w seminarium w swym kraju ojczystym.

Stanowi on już „drugie pokolenie" ugandyjskiego duchowieństwa, został bowiem wyświęcony na księdza przez J. E. ks. biskupa Kiwanukę, który jest administratorem apostolskim w Masawa.

HOLANDIA

WZROST SIŁY KATOLICKIEJ W HOLANDII

Wzrost siły liczebnej katolików w Holandii, będący do zawdzięczenia zarówno nawróceniom, jak — przede wszystkim — wyższemu przyrostowi naturalnemu ludności katolickiej, mającej więcej od protestantów dzieci w rodzinach, wpływa również i na holenderskie stosunki polityczne. W roku 1913 tylko 25 proc. Holendrów głosowało na kandydatów katolickich, zaś w roku 1948 — 37,2%. Jeszcze jeden taki skok przyrostu — a katolicy będą mieć w Holandii większość.

Wśród dziatwy szkolnej w Holandii, a więc wśród generacji najmłodszej, katolicy już mniej więcej stanowią połowę ogółu.

AUSTRIA

UPADEK WIARY W AUSTRII

PONURY OBRAZ przyszłości religijnej katolickiej Austrii maluje O. Svoboda w „Salzburger Klerusblatt": „W (austriackich) krajach związkowych jedno pokolenie, a w Wiedniu i rejonach przemysłowych nawet dwa, oddaliły się już od Kościoła. U roczników liczących od 15 do 20 lat występują w dziedzinie religijnej ogromne luki. Jeśli się nie uda, mimo bezreligijności rodziców, sprowadzić do Kościoła przyszłego pokolenia dzieci, jeśli się nie uda w następnym pokoleniu przepoić całego narodu ideą Kościoła, — wówczas miejsce obecnych niepraktykujących (jest ich dwie trzecie lub trzy czwarte), a jednak mimo wszystko często żyjących chrześcijańskimi wspomnieniami, zajmą prawdziwi poganie. W tym wypadku dechrystianizacja Austrii wejdzie w takie stadium, które niezmiernie utrudni odzyskanie odstępców i wzmocnienie wiary zobojętniałych, jak tego dowodzi przykład niektórych departamentów Francji. Jeszcze nasze obecne pokolenie stoi przed zadaniem misyjnym, którego nie wykonanie miałoby skutki niezmiernie tragiczne".

FINLANDIA

3.500 katolików fińskich może nareszcie otrzymać katolickie książki w ojczystym języku. Mianowicie zorganizowała się tu grupa katolików, która podjęła próbę dostarczania brakujących dotychczas książek religijnych i literatury katolickiej w języku fińskim. Niegdyś przed reformacją, Finlandia była krajem katolickim. Protestanci przejęli ponad 50 kościołów z czasów średniowiecza. Jeszcze dzisiaj mniejszość katolicka może wysłuchać Mszy św. tylko przy sposobności w Helsinkach, Turku i Lahti. Katolicy żyjący poza tymi miastami nie zawsze mogli otrzymać Św. Sakrament i znaleźć pociechę w literaturze katolickiej. (J.P.)

BRAZYLIA

AMNESTIA BRAZYLIJSKA

Prezydent rzeczypospolitej Brazylii, na wniosek rządu, ogłosił w Brazylii amnestię z racji Roku Jubileuszowego w Rzymie.

Małe zapytanie: czy wiele mieliśmy w Polsce rządów i prezydentów, których moglibyśmy podejrzewać, że w podobnych okolicznościach gotowi by byli uczynić to samo?

AFRYKA

SZKOŁY KATOLICKIE W AFRYCE POŁUDNIOWEJ ZAGROŻONE

Rząd Afryki Południowej, niechętny Kościołowi katolickiemu zarówno ze względu na swoje oblicze holendersko-protestanckie, jak i ze względu na swoją politykę rasowego ucisku, której się Kościół katolicki, skutecznie nawracający masy murzyńskie, przeciwstawia, nosi się z zamiarem poddania katolickich szkół misyjnych pod taką kontrolę władz państwowych, że w praktyce oznaczać to będzie przejęcie szkół misyjnych przez państwo i odebranie im cech katolickich.

Katolicki biskup Lydenburga w Afryce Południowej, J. E. ks. Riegler, przedstawił władzom rządowym memoriał podpisany przez 1154 katolickich nauczycieli murzyńskich, stwierdzający, że sprzeciwiają się oni upaństwowieniu szkół.

*

KATOLICY W URZĘDACH ZACHODNIEJ EUROPY

Z wyznaczeniem Georges Bidault'a na premiera nowego rządu francuskiego, katolicy stoją obecnie u steru większości rządów zachodnio-europejskich krajów: Andorra—biskup Navarri of Urgel, który ma tytuł księcia Andorry, lecz dzieli się władzą z Francją. Austria: dr. Leopold Figl, kanclerz. Belgia: Gaston Eyskens, premier. Francja: Georges Bidault, premier; Robert Schuman, min. spr. zagr. Niemcy: Konrad Adenauer, kanclerz. Irlandia: John Costello, premier. Włochy: De Gasperi, premier. Liechtenstein: Franciszek Józef II, panujący książe; dr. Aleksander Frick, premier. Luksemburg: wielka księżna Charlotte; Pierre Dupong, premier. Monaco: książe Ludwik II. Holandia: J. R. H. van Schaik, wicepremier. Portugalia: marsz. Carmona, prezydent; dr. Salazar, premier. Hiszpania: gen. Franco, szef państwa. Szwajcaria: dr. Enrico Celio i dr. Filip Etter, radcy federalni. (J. P.)

CO SIĘ STANIE Z KRAJEM GOA?

Od czasu zrzeczenia się przez Wielką Brytanię — dwa lata temu — władzy nad Indiami, przed polityką rządu nowego, induskiego mocarstwa stanął problemat ustosunkowania się do posiadłości innych, poza Anglią, państw europejskich na półwyspie indyjskim, mianowicie francuskich i portugalskich. Jak wiadomo, Francja posiada w Indiach pięć posiadłości, — przeważnie miast, lub miasteczek portowych z niewielką okolicą, — nazywających się Pondichéry, Mahé, Karikal, Yanam i Chandernagore, zaś Portugalia posiada trzy takie posiadłości, z których dwa — mianowicie Diu i Damao — mają charakter podobny do posiadłości francuskich, natomiast trzecie — Goa — jest rozległym kraikiem, rozmiarów przeciętnego, mniejszego polskiego województwa i ma około 600 tysięcy ludności.

Panowanie państw katolickich — zwłaszcza Portugalii, — okazało się w Indiach, tak jak i gdzie indziej, o wiele trwalsze od panowania angielskiego. Portugalczycy, podobnie jak gdzie indziej Hiszpanie, myśleli nie tylko o gospodarczej eksploatacji podbitych obszarów, lecz i o ich przetworzeniu w duchu chrześcijańskim. Już pół wieku minęło odkąd Hiszpania opuściła Filipiny; a jednak rozległy ten, wyspiarski kraj jest wciąż zarówno oazą katolicyzmu na Dalekim Wschodzie, — jedynym wielkim krajem katolickim w Azji — jak, co dziwniejsze, twierdzą hiszpańskiej kultury. Na mniejszą skalę, to samo jest w Goa. Goańczycy są rasowo, poczęści i językowo, Indusami, ale wyznają religię katolicką i uważają się za Portugalczyków. Zarówno rząd indyjski, jak opinia angielska dochodzą dzisiaj ze zdziwieniem do wniosku, że Portugalia stoi w Indiach mocną stopą; nieskończenie mocniejszą, niż stała Anglia, która była tylko obcym najeźdźcą, eksploatatorem i administratorem, do czasu rządzącym zręcznie, ale nie zdolnym kraju do siebie przyciągnąć i swoim duchem przepoić! Indie mogą Goa i inne kolonie portugalskie zająć siłą, — Portugalia bowiem nie jest w stanie ich obronić; ale będzie to tylko akt bezprawia, niesprawiedliwości i gwałtu, a nie akt wyzwolenia.

Indie żądają od Francji i Portugalii zgody na plebiscyt w ich indyjskich posiadłościach. Francja zaczyna się na żądania te pomału zgadzać. Portugalia jednak odmawia — z zasady. Odmawia, bo uważa Goa, Damao i Diu za cząstkę swej historycznej spuścizny, której bez oporu do ostatka oddać nie ma prawa. Jak zresztą twierdzi „Daily Telegraph" w artykule poświęconym tej sprawie, Portugalia, gdyby do takiego plebiscytu doszła, wygrała by go, albowiem „chrześcijańscy Goańczycy tym się różnią od innych grup ludnościowych w Indiach, że przyjęli wraz z katolicyzmem europejski styl życia".

Poprostu — Goańczycy są maleńkim, katolickim narodem w Azji, który w pogańskich Indiach rozpłynąć się nie chce i w oparciu o Portugalię broni swej odrębnej, politycznej egzystencji.

LIST KARDYNAŁÓW FRANCUSKICH

Czterej kardynałowie francuscy, kard. Lienart (biskup Lille), kard. Gerlier (arcybiskup Lugdunu), kard. Saliège (arcyb. Tuluzy) i kard. Roquee (arcyb. Rennes) ogłosili zbiorowy list, zawierający interpretację dekretu Stolicy Apostolskiej, potępiającego komunizm. List kardynałów francuskich usuwa mogące się zrodzić nieporozumienia, że Kościół, potępiając komunizm, tym samym opowiada się po stronie t.zw. świata kapitalistycznego albo zajmuje stanowisko w politycznym przeciwieństwie między Rosją Sowiecką, a mocarstwami zachodnimi.

Kardynałowie piszą m.in.:

„...Katolicy dobrze zrobią, jeśli zaniechają mówienia, że w konflikcie który przeciwstawia sobie siły komunistyczne i antykomunistyczne, Kościół stanął teraz po jednej ze stron. Kościół odmawia udziału w „krucjacie", do której przymieszane jest tyle współzawodnictw i interesów natury świeckiej i ekonomicznej; wie on, że biorąc taki udział, sprzeniewierzyłby się takiej misji w jej całej czystości, misja ta bowiem jest z gruntu duchowa. Stanowisko Kościoła jest nie inne teraz, jak w ubiegłej wojnie światowej.

„...W obliczu dekretu Świętego Officjum, katolik nie powinien ulegać złudzeniom, które ma miejsce zbyt często, że ujemny sąd, wypowiedziany przez Stolicę Apostolską o jednej doktrynie tym samym oznacza aprobatę doktryny przeciwnej. Potępiając działalność partyj komunistycznych, Kościół nie indentyfikuje się z żadnym z ustrojów kapitalistycznych. Należy również wiedzieć, że nawet i samej koncepcji kapitalizmu, to znaczy w pojęciu wartości absolutnej, jaką on nadaje własności, bez żadnego uwzględnienia dobra publicznego i godności pracy, jest pierwiastek materializmu, odrzucany przez naukę chrześcijańską.

„...Ci katolicy, którzy z racji swego stanowiska w społeczeństwie, swej potęgi w życiu ekonomicznym narodów, swego egotyzmu klasowego, lub swego przywiązania do bogactw tego świata są uwikłani w postawę oporu przeciwko przebudowie struktury społecznej, z pewnością nie działają w duchu Jezusa Chrystusa. Są oni bez wszelkiej wątpliwości, wspólnikami wrogów Kościoła i służą za narzędzie komunistycznej rewolucji".

Udział Polaków

w rzymskiej wystawie Czynu Katolickiego

Komisja Roku Świętego 1950, utworzona na zlecenie polskich władz duchownych w W. Brytanii przez Instytut Polski Akcji Katolickiej w Londynie, postanowiła wziąć udział w Wystawie Czynu Katolickiego, urządzanej w Rzymie w czasie trwania Roku Jubileuszowego 1950. Uznała bowiem, że choćby symboliczny udział najliczniejszego skupiska polskich uchodźców na tej wystawie będzie celowy, zwłaszcza wobec trafnie wówczas przewidywanej nieobecności na niej katolików z Kraju, którym władze komunistyczne nie pozwolą ani na wyjazd do Rzymu ani na udział w żadnej z imprez w obrębie Roku Świętego organizowanych w Wiecznym Mieście.

Powołana do życia Podkomisja Wystawowa na szeregu zebrań ustaliła formę polskiego udziału w Wystawie, dostosowując ją do warunków i możliwości, jakie nasze uchodźctwo posiada. Sam fakt nieobecności Kraju na Wystawie jest dostatecznie wymowny, udział zaś uchodźctwa polskiego powinien polegać na ukazaniu wierności Kościołowi tych wszystkich, którzy czy to jako żołnierze czy jako wygnańcy lub uchodźcy znajdują się obecnie poza granicami Ojczyzny swej.

Ostatecznie projekt polskiego stoiska ustalono w postaci poliptyku, złożonego z 9-ciu tablic, ujętych w 3 tryptyki, co daje, całemu zestawowi dostateczną elastyczność w dostosowaniu go do warunków miejsca, jakie przypadnie w udziale Polakom na Wystawie. Zaznaczyć bowiem należy, że Komitet Główny Wystawy Czynu Katolickiego traktuje ją według pewnych zagadnień jak prasa katolicka, misje, Akcja Katolicka, zagadnienia charytatywne itp. i dlatego udział w Wystawie narodów zza Żelaznej Kurtyny postanowiono potraktować zupełnie odrębnie przez danie im do dyspozycji ewentualnie osobnej części całej wystawy.

Całość poliptyku polskiego została ukończona w ostatnich dniach stycznia b.r. poczem został on wysłany do Rzymu. Przed wysłaniem przedstawiciele prasy mogli się z nim zapoznać w pracowni artysty — malarza p. Witolda T. Marsa, który się podjął wykonania całości. W stronie dekoracyjnej poszczególnych tablic zastosowano technikę sgrafittową, teksty tablic są ilustrowane elementami graficznymi i fotografiami artystycznymi, które wykonał p. Ćwirko Godycki w pracowni Instytutu Historycznego im. gen. W. Sikorskiego w Londynie.

SKARB NARODOWY

W dniach 30 grudnia 1949 i 10 stycznia 1950 r. odbyły się posiedzenia inauguracyjne Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Pierwszemu posiedzeniu przewodniczył Pan Prezydent R. P. Wzięli w nim udział obecni w Londynie członkowie Głównej Komisji Skarbu Narodowego z wyboru Rady Narodowej R. P. i z urzędu. Przewodniczącym Główn. Komisji Skarbu Narodowego wybrano jednogłośnie gen. Władysława Andersa.

Tematem obu posiedzeń było ustalenie zasad organizacji i metod pracy Skarbu Narodowego. Postanowiono zwrócić się do społeczeństwa polskiego na obczyźnie z odezwą wzywającą ogół Polaków do współpracy w dziele budowy Skarbu Narodowego. Nadto postanowiono wydać ulotkę informacyjną o technicznych szczegółach akcji. W dalszym ciągu rozważano sprawę powołania Komisji Skarbu Narodowego na Wielką Brytanię, Niemcy i Belgię. Inne tereny, na których istnieją większe skupienia Polaków, znajdą się na porządku dziennym obrad następnych posiedzeń.

Biuro Głównej Komisji Skarbu Narodowego mieści się przy 74,Cornwall Gardens, London, S. W. 7. tel. WSTern 8324.

ODEZWA GŁÓWNEJ KOMISJI SKARBU NARODOWEGO DO SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

Zostaliśmy na obczyźnie, by o Polskę walczyć i do Niej wrócić. Wojna nie skończyła się. Ona trwa. Niech ją inni nazywają „wojną nerwów" czy „zimną". Dla nas, Polaków, jest to wciąż ten sam konflikt zbrojny, sprowokowany we wrześniu 1939 r. najazdem Niemców i Rosji na Polskę. To wojna o ciało i duszę Narodu.

My jedni z pośród emigracyj politycznych z za żelaznej kurtyny zdołaliśmy ocalić i zachować symbole Państwa. Z nami jest Prezydent i z nami są naczelne władze Rzeczypospolitej. Ostatnio dekretem Pana Prezydenta została powołana Główna Komisja Skarbu Narodowego, która pod hasłem „Daniny Polskiej" ma przeprowadzić dobrowolne powszechne opodatkowanie się uchodźctwa.

Musimy stać na straży honoru i interesów Ojczyzny oraz głosić prawdę o Polsce, przeciwstawiając się fałszom szerzonym po świecie przez komunistów. Walka o Niepodległość wymaga zasobów pieniężnych. Szukać ich trzeba przede wszystkim we własnych szeregach bo jeśli nam pomogą obce czynniki, nie uczynią tego za darmo.

Wierzymy, że potrzebę stworzenia Skarbu Narodowego rozumieją wszyscy Polacy, zarówno należący do nowej, jak i starej emigracji.

Skarb Narodowy, poddany jak najściślejszej kontroli obywatelskiej, służyć będzie nie tylko akcji niepodległościowej i celom społecznym, ale również potrzebom kultury polskiej. Winniśmy wrócić do Polski Polakami.

Londyn, 10 stycznia 1950 r.

Gen. W. Anders
Przewodniczący Głównej Komisji Skarbu Narodowego.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

DZIEDZICTWO WIEKÓW

W „trzecim programie" BBC nadawany jest obecnie cykl odczytów pt. „The Heritage of Early Britain", obrazujących — na podstawie najnowszych badań — wpływ, jaki wieki poprzednie, łącznie z erą przedhistoryczną, wywarły na ukształtowanie się dzisiejszej Anglii, Szkocji i Walii.

Pierwszy z prelegentów, Glyn Daniel, podkreślił, że to co nazywamy prehistorią, tj. okres z którego brak jakichkolwiek świadectw pisanych, obejmuje prawie 99 procent życia ludzkiego na ziemi. Wedle bowiem geologów i geochronologów pierwsze narzędzia ludzkie zrobione zostały około 600.000 lat temu, natomiast wiek pierwszych zapisków w Egipcie i Sumerii omal napewno nie przekracza 5.000 lat.

Z okresu paleolitycznego (tj. wczesnego wieku kamiennego), który wedle uczonych trwał od chwili wynalezienia przez człowieka narzędzi po trzecie tysiąclecie przed Chr. brak w W. Brytanii jakichkolwiek ciekawszych wykopalisk. Nie znaleziono tu, jak dotąd, malowideł skalnych, w rodzaju tych, jakie odkryte zostały w Lasceaux we Francji.

Lat temu 6 — 10.000 u końca epoki lodowej, Wielka Brytania oddzielona została od reszty Europy cieśniną morską i stała się wyspą. W tym samym mniej więcej czasie na Bliskim Wschodzie dokonane zostały odkrycia, które stanowiły epokową rewolucję w dziejach ludzkości: uprawa zbóż i i oswojenie szeregu zwierząt, zwanych odtąd zwierzętami domowymi. Stało się to w początkach okresu neolitycznego (tj. późnego wieku kamiennego). Do W. Brytanii odkrycia te dotarły około roku 2.000 przed Chr. Po dacie tej pojawiają się tu pierwsze osiedla rolników i hodowców zwierząt. Prehistorycy rozróżniają kilka ludów, z których ci rolnicy i hodowcy się składali (tzw. Windmill Hill people, Beaker people i Meligathic people). Wysoki stosunkowo stopień kultury — już w wieku brązowym — sięga tzw. Wessex people, który przybył na wyspę z Bretanii. Jest to ostatnia z inwazyj w drugim tysiącleciu przed Chr.; przez następnych 300 — 400 lat wyspy brytyjskie przeżywały prawdopodobnie okres pokojowego rozwoju. Z okresu tego pochodzą wspaniałe uroczyska w Stonehenge i Avesbury. Kunsztowne wyroby z brązu i złota, jakie wtedy powstały, zawdzięcza się wpływom, idącym z Hiszpanii i Europy Środkowej.

W epoce żelaza (tj. w pierwszym tysiącleciu przed Chr.) nastąpiły inwazje różnych ludów celtyckich, które podbiły kraj i narzuciły jego pierwotnej ludności swe języki. Pierwszymi przybyszami celtyckimi byli prawdopodobnie wojowniczy Piktowie w Szkocji, którzy osiągnęli wcale wysoki stopień kultury (mieli podobno swe księgi) i skutecznie obronili się przed usadowieniem się na dobre w Szkocji Rzymian. Dialekt „gaelic", którego szczątki zachowały się do tej pory w górach szkockich przyniesiony jednak został do Szkocji później, przez lud celtycki, który przybył tu z Irlandii i stworzył królestwo Argyllu. Królowie Argyllu pożenili się z Piktami i w połowie IX wieku po Chr. zjednoczyli całą Szkocję pod swą władzą. Szkocja południowa zaludniona była od dawnych czasów nie przez Piktów lecz przez przodków dzisiejszych Walijczyków, którzy w połowie V wieku przed Chr. osiedlili się również w dzisiejszej Walii. W ten sposób cały pas od Edynburga poprzez północną Anglię i Midlandy po Walię zamieszkiwany był przez plemiona Walijskie, mówiące tym samym językiem.

Ludy celtyckie odznaczały się zawsze szczególną ruchliwością umysłową i zdolnościami artystycznymi. Zdaniem jednej z prelegentek wspomnianego cyklu, p. Nory Chadwick, pierwiastkom celtyckim właśnie zawdzięcza swą wielkość poezja angielska od najwcześniejszych czasów. Przed inwazją Rzymian sztuka Celtów w W. Brytanii — postępując za wzorami z kontynentu — przeżywała duży rozkwit; stanowiła ona część tzw. kultury La Tène. Odnaleziono, zwłaszcza w rzekach, artystycznie wykonane tarcze, pochwy do mieczy, oprawy zwierciadeł itd.

DIARIUSZ BYRONA

Pojawił się w dwóch tomach wybór najbardziej interesujących listów Byrona i jego zapisków w diariuszu („Byron. A Self-Portrait. Letters and Diaries, 1798 — 1824. Edited by Peter Quennell. Murray, cena 42 sh).

Większa część tych listów i zapisków wydana już była poprzednio przez lorda Ernle (w latach 1902 — 1904) oraz Sir Johna Murray'a (w r. 1922), w obu tych wydaniach opuszczono bardziej drastyczne ustępy czy zdania. Redaktor obecnego wydania, Quennell, przywrócił te opuszczone miejsca w przekonaniu, że nerwy dzisiejszego pokolenia będą mogły bez wstrząsów znieść owe wyznania. Po raz pierwszy więc wydrukowany został spis weneckich kochanek Byrona, zawarty w jego liście z dnia 19 stycznia 1819 r., a opuszczony w wydaniach poprzednich. Wydanie obecne zawiera nadto 55 listów do tej pory w ogóle nie ogłoszonych.

Z listów przebija żywa wyobraźnia i talent pisarski Byrona, zarazem zaś jednak jego niezmierna próżność.

DWIE NOWE HISTORIE SZTUKI

Wyszły drukiem w Anglii dwie nowe, obficie ilustrowane historie sztuki. Autorami pierwszej z nich: „History of World Art" (Oxford University Press, cena 32 s. 6 d.) jest troje Amerykanów: Everard M. Upjohn, Paul S. Wingert i Jane Gaston Mahler. Druga pt. „The Story of Art" (Phaidon Press, cena 21 sh.) wyszła spod pióra E. H. Gombricha.

Obie stoją na wysokim poziomie naukowym i uwzględniają najnowsze badania. Książka Gombricha ma charakter popularniejszy.

STARE KLISZE — NOWE CZASY

O LOSIE Żydów w Rosji i o obowiązkach ich wobec Sowieckiego Związku, jak również o sjonizmie panuje w prasie rosyjskiej od dłuższego czasu głucha cisza. Pod wpływem stworzenia państwa w Palestynie urobił się w Politbiuro pogląd, że Żydzi mogą być bardzo cennym materiałem partyjnym w państwach zachodnich, natomiast w Związku Sowieckim reprezentują element trudny do masowej asymilacji, bo z natury burżuazyjny albo nacjonalistyczny w sensie ciążenia ku Palestynie, a w innych wypadkach kosmopolityczny, wielbiący cichaczem amerykański imperializm.

W 1949 roku znany pisarz Ilia Ehrenburg wystąpił z szeregiem artykułów, w których ustosunkował się najkrytyczniej do Sjonizmu. Według niego rola Żydów powinna na Zachodzie polegać na pracy, poświęconej zrealizowaniu w państwach europejskich postulatów skrajnego socjalizmu, a nie na tworzeniu własnego państwa w Palestynie. Pomimo takich w miarodajnych kołach poglądu na sjonizm w okresie walk między Żydami i Arabami polecono jednak Czechosłowacji dostarczać broni Żydom. Ale okazywanie tej pomocy miało wówczas inny cel, chodziło o podtrzymanie stanu zapalnego na skrzyżowaniu wielkich polityczno-naftowych dróg świata.

* * *

AMBASADOR amerykański generał Bedell Smith opisał w serii artykułów w „Daily Telegraph" swą misję w Rosji od 1946 do 1949 r. Wspomina on o ostrych w tym czasie przejawach antysemityzmu na Ukrainie. Wrogie ustosunkowanie się do Żydów i prześladowanie ich było skutkiem wrodzonego antysemityzmu mas, rozdmuchanego w czasie okupacji niemieckiej przez propagandę nazistowską. Pisze on, że „wielu Żydów zostało zabitych w pogromach na małą skalę", wtedy, kiedy inni zmuszeni byli „ratować się ucieczką w nocy". Ponieważ w 1924 r. została stworzona na Syberii żydowska prowincja Birobidżanu, poważnie zasilana pomiędzy 1920 i 1930 rokiem darami żydowskich organizacji dobroczynnych, więc na wieść o prześladowaniu Żydów na Ukrainie Żydzi zaczęli masowo emigrować do Birobidżanu. Prawdopodobnie pod wpływem tych opiekuńczych organizacyj żydowskich ambasador Bedell Smith rozpoczął starania o otrzymanie pozwolenia na zwiedzenie tej żydowskiej kolonii w Związku Sowieckim. Pozwolenia nie udzielono, to też ambasador konkluduje: „Mogliśmy z tego wyprowadzić tylko jeden wniosek, że władze nie chciały bym uzyskał w ten sposób potwierdzenie szeroko rozpowszechnionego opowiadania o biedzie, która tam panuje i niskim poziomie życia mieszkańców tej prowincji.

* * *

O LOSIE Żydów w Birobidżanie pragnęła również dowiedzieć się pani Golda Myerson, która zjechała do Moskwy w 1949 r. Czytając złośliwe ataki Ehrenburga na sjonizm i wyobrażając sobie, że potrafi komunistycznego pisarza przekonać, pragnęła ona go poznać. Spotkanie ułatwił gen. Bedell Smith proponując Ehrenburgowi rozmowę z rodaczką na oficjalnym dyplomatycznym przyjęciu. Rozmowa prowadzona była na żądanie Ehrenburga za pomocą tłumacza. Zdziwiona pani Myerson zapytała wtedy, czy pisarz nie mówi po angielsku? Ehrenburg długo na nią patrzył nic nie mówiąc, wreszcie, jak opowiada amerykański ambasador, wycedził:

— Nie mam żadnego szacunku dla urodzonej w Rosji Żydówki, która mówi po angielsku.

Po tej nauczce trudno było liczyć na zgłębienie tajemnic Birobidżanu.

KRONIKA FRANCUSKA

W związku z tygodniem poświęconym modlitwom o uproszenie Jedności Chrześcijańskiej (patrz ŻYCIE, nr. 4/135), a także na skutek świątecznego orędzia papieskiego znajdujemy w prasie francuskiej szereg wypowiedzi na ten temat.

Monde, półurzędowy francuski dziennik popołudniowy, (przedwojenny **Temps**) zdaje sprawę z opinii prasy anglo-saskiej na temat chrześcijańskiego zjednoczenia, omawiając ankietę ogłoszoną w amerykańskim **Newsweek**, tygodniku o olbrzymim nakładzie. Owa ankieta stwierdza stały przyrost wyznawców chrześcijaństwa, przekraczający procentowo przyrost ludności (blisko 30 milionów przybyło chrześcijan w ciągu ostatnich 20 lat). Na 79 i pół milionów wierzących chrześcijan w Stanach Zjednoczonych 47 i pół milionów należy do **dwustu dwudziestu dwóch** różnych kościołów protestanckich. Prawie wszystkie te kościoły odnoszą się pozytywnie do prób porozumienia wyznaniowego. Wszechświatowa Rada Ekumeniczna kościołów, ustanowiona w Amsterdamie w 1948 r., która zjednoczyła 148 kościołów protestanckich i prawosławnych z 42 krajów zyskała pełne poparcie różnowierców chrześcijańskich w Ameryce.

Następnie omawia **Monde** obszerny i wyczerpujący artykuł londyńskiego **Times** na ten sam temat, zakończony również słowami nadziei tej samej, której dał wyraz pastor Boegner:

„Chrześcijanie muszą walczyć obecnie z okrutnymi zakusami dążącymi do poddania religii interesom politycznym i ekonomicznym, to też świat spodziewa się, że Pius XII w oczekiwaniu na cud Bożego zmiłowania dopełni też jakiegoś gestu wobec reszty świata chrześcijańskiego, gestu, który by był na miarę bieżącej rzeczywistości".

Monde z 17 stycznia zamieścił dwugłos profesorów wydziałów teologii protestanckiej i katolickiej na Uniwersytecie Strasburskim pt. **„Dialog Ekumeniczny"**.

Protestant Roger Mehl, pisząc o Radzie Amsterdamskiej, przypomina, że nie jest to pierwsza próba porozumienia kościołów chrześcijańskich (poza Kościołem katolickim). Amsterdam wyprzedziły zjazdy w Stockholmie, Lozannie, Oxfordzie i Edinburgu, tęsknota do tego zjednoczenia oraz wspomnienie pierwotnej jedności istnieją zawsze żywe, mimo zasadniczych różnic dogmatycznych (różne pojmowania istoty Kościoła, istoty sakramentu, zadań kapłaństwa itd.). Znaczenie Rady Amsterdamskiej polega, zdaniem prof. Mehla, nie tylko na woli wzajemnego porozumienia, ale też na uznaniu zasadniczej jedności, stojącej ponad rozłamami dogmatycznymi, oraz na tym wezwaniu do pokory i żalu za grzech niezgody i nienawiści, które rozdarły Kościół Chrystusowy na tyle skłóconych pomiędzy sobą członów.

„Nieobecność Rzymu w Amsterdamie nie może nas ani dziwić ani gorszyć, powiada prof. Mehl. Rzym nie może stawiać pod znakiem zapytania swojej doktryny a jedynie dogmaty tej doktryny wyjaśniać i stwierdzać; w dziedzinie więc doktrynalnej kierunek Zjednoczonych w Radzie Ekumenicznej Kościołów a kierunek Kościoła Rzymskiego są wprost przeciwne, mało też jest, sądząc po ludzku, prawdopodobieństwa aby się kiedykolwiek zejść mogły. Sceptycyzm ten byłby jednak zatwierdzeniem klęski naszej wiary... Chrystus obiecał nam, że to o co prosić będziemy w Imię Jego będzie nam dane, a to jest wystarczającą gwarancją dla naszej modlitwy... Rozwiązanie istnieje, mimo że go nie widzimy, kończy prof. Mehl, imię Pana nie będzie wzywane na daremno, musimy się jednoczyć w tym okresie łaski, okresie modlitwy mimo mroków naszego poznania".

Prof. Maurice Nédoncelle, katolik, stwierdza, że od XVII-go wieku było szereg prób porozumienia katolicyzmu i protestantyzmu, prób niegdyś głośnych, ale daremnych i dziś zapomnianych. Po ludzku sądząc, sprawa powszechności kościelnej jest beznadziejna. Rozłamy jednak chrześcijańskie wiązały się dotychczas ze współzawodnictwami narodowymi i wynikłymi stąd rozgraniczeniami geograficznymi; tego rodzaju zależności religii od polityki i innych czynników są jednak coraz bardziej niedopuszczalne dla sumienia chrześcijańskiego. I to właśnie pozwala nam żywić nadzieje... Dusza istotnej powszechności Kościoła polega na **modlitwie i cierpieniu**, tych dwu podstawowych wyrazach miłości Bożej. Modlitwy nasze, jeżeli nie są zjednoczone, to są jednak równoległe, a to już jest dużo, kończy prof. Nédoncelle: — „Radość Zesłania Ducha Świętego bywa zawsze wyprzedzana przez rozpacz Wielkiego Piątku".

W dwutygodniku katolickim **„L'Homme Nouveau"** znajdujemy wyszczególnienie kilku zgromadzeń tak katolickich jak i różnowierczych, poświęconych modlitwom o zjednoczenie Kościoła, tylko kilku, na terenie Francji, Belgii i Szwajcarii. Tak więc w Chevetogne, w Belgii, jest klasztor złożony z dwóch zgromadzeń, jedno obrządku rzymskiego, drugie obrządku wschodniego, którego głównym celem jest zbliżenie katolicyzmu i prawosławia. W Grandchamps koło Neuchatel w Szwajcarii jest dom rekolekcyjny, w którym poza stale odbywającymi się rekolekcjami, grupa kobiet związanych z Federacją Szwajcarskich Kościołów Protestanckich modli się bezustanku o połączenie Kościołów.

W Taize, odległym o kilka kilometrów zaledwie od starożytnego opactwa Cluny (Francja) bracia protestanccy utworzyli zgromadzenie o typie zakonnym; co noc o godz. 3,30 schodzą się oni na wspólne modły o zjednoczenie Kościołów. Liczne zgromadzenia w kościele anglikańskim modlą się o to samo, podobnie liturgia prawosławna pełna jest niepokoju z powodu rozdartej szaty Chrystusowej.

Zewsząd więc wznoszą się błagania o Boskie wstawiennictwo w dziele Zjednoczenia, w różnych językach, różnych słowach, ale wszystkie płyną z jednego źródła wiary nadziei i miłości Ukrzyżowanego Chrystusa.

Tim.

Paryż, 24.I.50.

KOMUNIKATY

Katolickie Stowarzyszenie Anglo-Polskie

W niedzielę, 5 lutego odbyło się w Kościele Polskim przy Devonia Rd (st. kol. podz. „Angel") specjalne nabożeństwo dla pielgrzymów połączone z Różańcem i błogosławieństwem. Podczas herbatki, która zgromadziła uczestników w salce parafialnej, p. Agnes Keating opowiedziała o swojej pielgrzymce do Fatimy w Portugalii.

Trzeci międzynarodowy kongres prasy katolickiej

W Rzymie, przy via della Scrofa 70, odbędzie się w czasie od 16 do 19 kwietnia br. kongres prasy katolickiej poświęcony tematowi „Prasa katolicka w służbie prawdy, sprawiedliwości i pokoju". Przewodniczyć będzie kongresowi Józef Dalla Torre, prezes Union Internationale de la Presse Catholique. Pierwsze posiedzenie poprzedzi o godz. 8,30 Msza św. w Bazylice Laterańskiej. M. in. kongres omówi zagadnienie udziału prasy katolickiej w międzynarodowych organizacjach. W czasie kongresu odbędą się spotkania wspólne dziennikarzy i wydawców oraz posiedzenia oddzielne. Zawodowi dziennikarze katoliccy będą mieli na kongresie prawo głosowania, publicyści katoliccy będą mieli prawo przemawiać. Dnia 15 lutego specjalna komisja będzie weryfikowała uprawnienia uczestników.

Wykłady wakacyjne dla młodzieży

Komitet Półkolonii Letnich przy Research Centre, zachęcony powodzeniem, jakim cieszyły się wczasy wakacyjne dla dzieci na Chiswicku w Londynie, wystąpił ze szczęśliwą inicjatywą zajęcia się młodzieżą, która przyjechała na święta Bożego Narodzenia ze szkół angielskich do rodziców.

Cicha i dostojna siedziba Research Centre przy 51, Eaton Place zaroiła się przedstawicielami młodszego pokolenia. Przez 6 dni stycznia słuchali oni wykładów historii i literatury ojczystej, prowadzonych przez profesorów: Ludwika Bojczuka, Mieczysława Giergielewicza i Henryka Paszkiewicza. Zapisało się na oba cykle przeszło 90 osób.

Dnia 11 stycznia br odbyło się uroczyste zakończenie kursu, na którym przemówienia wygłosili: przewodnicząca Komitetu, p. C. Lanckorońska, gen. Anders i w imieniu rodziców ppłk. Ulrych. Gen. Anders podkreślił pożyteczność prowadzenia wśród młodzieży akcji dokształcającej w duchu narodowym, abyśmy „do Polski wrócili Polakami".

Grupa angielskich katolików intelektualistów z Cardiff wyraziła życzenie nawiązania kontaktu z zamieszkałymi w tym rejonie Polakami katolikami z wyższym wykształceniem.

Osoby, które pragnęłyby się z nimi zetknąć, mogą uzyskać szczegóły w sekretariacie gen. PKSU VERITAS. 21, Earls Court Sq., London, S. W. 5.

Na prenumeratę „ŻYCIA" w Niemczech

Poniżej podajemy listę ofiar, jakie na prenumeratę ŻYCIA dla Polaków w Niemczech napłynęły do nas w ciągu ostatnich 3 miesięcy. Suma ich pozwoliła nam pokryć zaledwie 18 miesięcznych prenumerat ŻYCIA. Ofiarodawcom składamy nasze serdeczne podziękowanie.

P. Roman Turski	£. 0. 3. 0
Bezimiennie	£. 0. 6. 0
P. J. J.	£. 0. 2. 0
P. J. Bogdanowiczowa	£. 0. 2. 0
P. R. Turski	£. 0. 3. 0
P. K. Imach	£. 0. 2. 0
P. M. Orłowski	£. 0. 3. 6
P. S. Milewska	£. 0. 10.0
P. H. Lergetporer	£. 0. 10.0
P. K. Sobota	£. 0. 3. 0
P. T. B.	£. 0. 5. 0
P. M. Orłowski	£. 0. 3. 6
P. K. Imach	£. 0. 2. 6
P. K. Imach	£. 0. 2. 6
Razem	£. 3. 3. 6
Poprzednio ogłoszone	£. 226.16.1
RAZEM	£. 229.19.7

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas **Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 68 79. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna: SZWECJA:** miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. **ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.